

TYGODNIK ILLUSTROWANY



CYMBALISTA

MAURYCY TRĘBACZ

JÓZEF WEYSSENHOFF:

ROZMOWY LITERACKIE

Z ANATOLEM O GENIUSZU.

Innego znowu muszę przedstawić czytelnikom „rozmówcę”. Nowożytny jest co najmniej, jak ten wyraz. Krytyk zawołany, współredaktor paru pism, już zamkniętych z powodu niedojrzałości społeczeństwa, współwyznawca najnowszych kierunków literacko-muzycznych, współwłaściciel patentu na nową maszynę do pisania, współ... Takich pół-tytułów ma mój znajomy kilka, które składają razem jedną całkowitą osobę—Anatola Goberskiego.

Osobisty przyjaciel francuskich dekadentów, przyswoił literaturze polskiej wiekopomne dzieło estetyczne Renata Ghil'a „*Le traité du Verbe*”, któremu w tłumaczeniu nadał tytuł „Po nad wyraz”; autor książki „Satanizm w dawnej Polsce” i zbioru wierszy p. t. „Rumiane wstydy”; palił podobno haszysz w paryskim klubie pod wezwaniem Stefana Mallarmé, a w Belgii widział na własne oczy studnię, do której Maeterlinck, upuszczony przez mamkę, tęskni ciągle jako do źródła swej mętnej preegzystencji.

W ogrodach poezji ojczystej szuka Anatol z upodobaniem wielkich agaw, świeżo kwiatem wystrzelonych, i potwornych storczyków, ostatnich produktów krytycznego ogrodnictwa. Kochałby może i wyniosłe drzewa Sienkiewicza i niewiedzące róże Konopnickiej—ale to takie proste, a przytem już sławne... Cóż to za materiały dla krytyka? powiedzieć: piękne—i cytować—? Co innego świeżo odkryty, dla wielu jeszcze problematyczny geniusz. Na takim można wykazać swą własną współgenialność.

Anatol, pomimo studyów nad satanizmem w dawnej Polsce, pomimo ponurych kompanii, w których przebywał, ma złote serce: namiętnie lubi wielbić. Pozostawia innym krytykę gorzką, drobiazgową, opartą na jakichś zmurszałych zasadach; zajmuje się głównie apoteozą tych twórców, którzy mu dostarczają materiały do artykułów wrażeniowych i—spożywczych.

Upewnia przytem, że kocha Homera, Szekspira, Goethego, Mickiewicza, Słowackiego... a zarazem: Maeterlincka, Wyspiańskiego, Micińskiego... Jakim cudem koordynuje te upodobania?—trudno wytłumaczyć. Prostu—bardzo bogata natura.

Jednak nie o nim chcę tu mówić, lecz powtórzyć z nim rozmowę. Spotkałem go w barze „pod Miotłą”, gdzie Anatol, w braku warszawskiego klubu haszyszowców, lubi przebywać.

— Pozdrowienie w duchu!—rzekł do mnie.

— Dzień dobry panu—odpowiedziałem.

Wódka—przekąska—znowu wódka—konwersacja.

— Zieleni się, zieleni...—zaczął Anatol, przesywając mnie łzawem, pozbawionem wszelkiego satanizmu spojrzeniem.

Nie mogąc zgadnąć, co się zieleni, milczałem.

— Zieleni się trwała błyskawica na niebie sztuki—już mroki oslepiły.

— Proszę mi dać porcję schabu, jeżeli biały.

— I dla mnie—wtrącił Anatol.—Mroki są oślni one, ustępują... A ta błyskawica—wie pan—grzeje—błyska i grzeje.

Zacierał ręce i robił łopatkami, jakby go istotnie grzało jakieś wielkie uradowanie.

— Pan tutaj układa swoje... artykuły, czy szkice?

— O, nie... albo i tak. Gdy czuję, mówię; a gdy mówię, słucham, co się powie; z tego czasami wylania się wyraźny rysunek moich uczuć...

— A cóż pan czuje w tej chwili, jeżeli wolno zapytać?

— Czuję... jak geniusz Wyspiańskiego stanął między nami i rośnie, rośnie—napętnia ducha narodowego, który do niedawna odgłaszał się pustką...

— Co też pan mówi, panie Goberski! I dlaczego pan pomyślał o Wyspiańskim?

— Pięć naraz książek ukazuje się o nim, licząc i moją, która prawie gotowa. Jeszcze tylko muszę niektóre jego utwory sprawdzić na fortepianie.

— Jakże to pan robi?

— Daruje pan... tajemnica do czasu. Znajdzie się to w mej książce: „Wyspiański, fresk melosyntetyczny”.

— Jakto fresk?

— Nazywają starcy swe artykuły szkicami. Dlaczegobym nie miał prawa nazwać freskiem tego dzieła, które jest niczem innym, jak rzuceniem barw i dźwięków mistrza na świeże wapno mej wrażliwości.

— Więc pan w tym wypadku jest ścianą?

— Prawie... albo ekranem, zwierciadłem... Czemże innym jest krytyk?

— A no... niech sobie będzie zwierciadłem, ale pewnego gatunku... niech odbija zalety, niech nawet przyćmiewa wady, byleby jaskrawych wad Wyspiańskiego nie podawać za wielkie wynalazki, a szczególnie za nowe wzory twórczości.

Anatol szeroko otworzył oczy, pełne przekonania:

— Wady Wyspiańskiego?! on nie ma wad!

— Pan to mówi na seryo?

— Jego wielki Duch oddaje się nam bezpośrednio w słowie. To nie literat—to tylko duch. Można mówić o zuchwałościach, nie o wadach. A te zuchwałości staną się kiedyś pomnikowymi rysami kolosu. Już się tem stają! Naród go jeszcze nie rozumie, ale już go czuje. Jutro jego!

— Niechże pan powie przynajmniej: część jutra—

— Wiem—rzekł Anatol ze szczerem ubolewaniem—pan nie docenia Wyspiańskiego.

— O to tylko sprzeczka, do jakiej miary należy go cenić. Był szczerym twórcą, dobrym obywatelem i wykonawcą różnych prób wielce charakterystycznych dla naszej epoki.

— Ależ to geniusz, panie!—zawołał zgorzsony Anatol—nie wstydzmy się go uznać!

— Jakże tedy nazwiemy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego? nawet współczesnych poetów, którzy go przerastają pod każdym względem?

— Tamci trzej to bogowie. A ze współczesnych nikt... Zresztą na co te zestawienia? Wyspiański istnieje sam przez się.

— W tem zgadzam się z panem ponieważ: trzeba go obserwować odrębnie. Numerowanie indywidualów twórczych słabe daje wyniki. Mamy jednak kryterium porównawcze wyłącznie w historii literatury.

— Przepraszam! jest inne kryterium: siła bezpośredniego wrażenia. Nazwałem to w mej książce dynamiką fonoplastyczną.

— Ślizka droga, panie Goberski! Każdy krytyk miałby wtedy swój dynamometr, którego mechanizm i funkcjonowanie mogą być dla in-

nych wątpliwe, lub zgoła niezrozumiałe. I rodzi się nowa trudność: oprócz przeniknięcia omawianego autora—rozumienie krytyka.

— O! bo też nowa estetyka nie jest łatawa!—rzekł Anatol z natchnionym uśmiechem.

— Więc pan dla określenia Wyspiańskiego stworzył nową estetykę?

— Zadużo powiedzieć: stworzyłem... Ta estetyka jest w nim—i we mnie. Rozumiemy się doskonale z mistrzem.

— To pana rzecz. Ale są w zawodzie krytyka inne obowiązki, nawet społeczne.

— Myśli pan zapewne o szerzeniu *zdrowych zasad*?

Ostatnie słowa wymówił Anatol z okazałą pogardą.

— Przynajmniej—zdrowych pojęć. Szerzyćby należało światło, a nie zamęt. Nie wątpię, że się pan do tego swoją książką przyczyni.

Ja znowu wypowiedziałem ostatnie zdanie bez akcentu niezłomnego przekonania. Ale kurtuazyja rozmowy została uratowana. Poczciwy rewolucjonista estetyki starał się przychylić do moich zaśnieżonych pojęć. Coś jakby Osińskiemu zdejmował bielma z oczu, ukazując mu Mickiewicza:

— Widzi pan... Wyspiańskiego nie można mierzyć ścisłą myślą... Linie jego twórczości to niby błyskawicowe rzuty od zamiaru do celu, z których się układa wizya.—Wizya może być i barwna, panie, i dźwięczna—nie potrzebuje być traktatem naukowym o temacie.

Straciłem trochę cierpliwość:

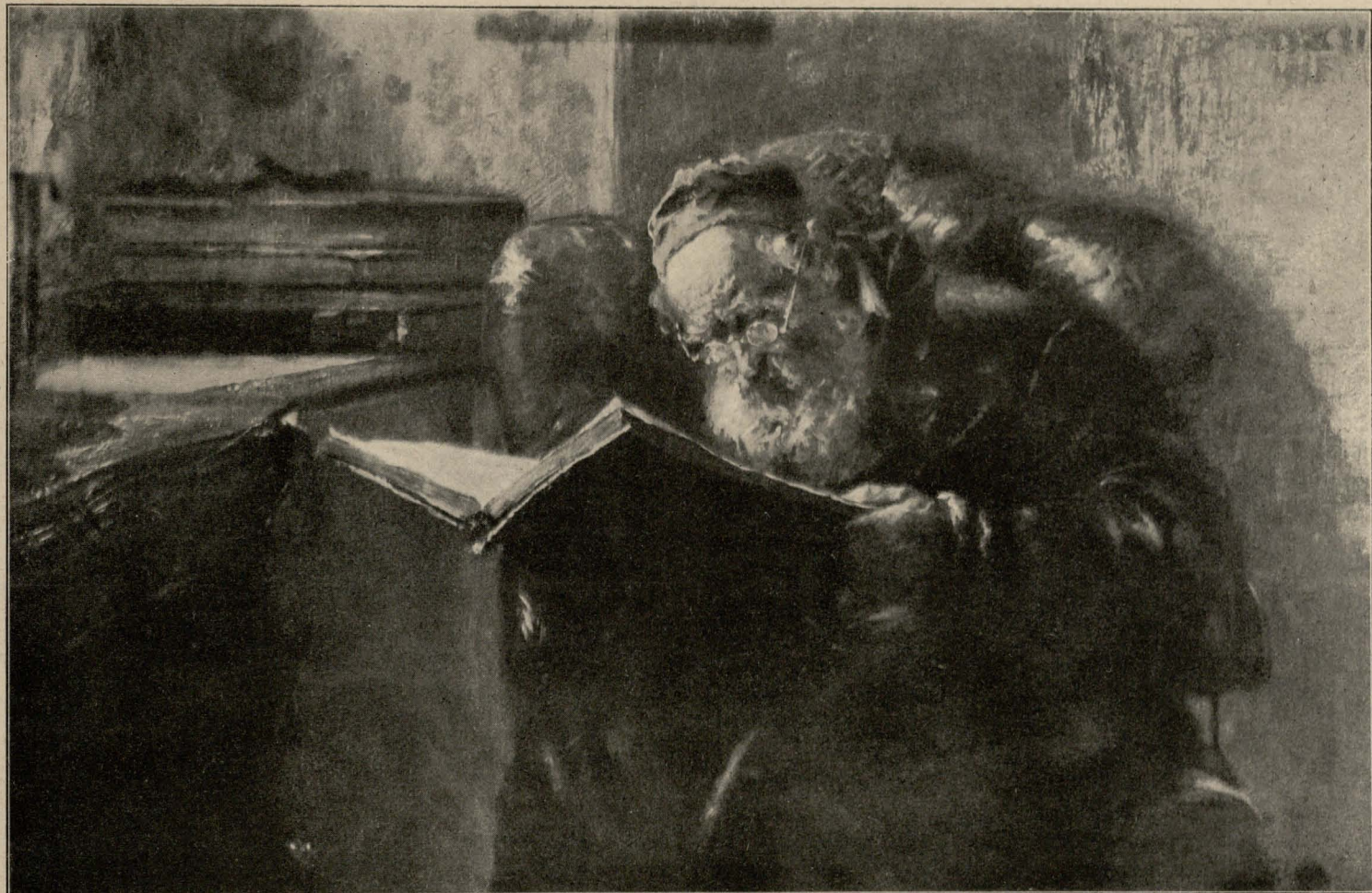
— Rozumiem przecie, że są różne wizye. Tylko pan nie wymienił wizyi *poetyckiej*. A że dzieło sztuki nie jest traktatem naukowym, tego także nie warto powtarzać. Trzeba tylko w krytyce ustalić jedno: sztuka jest transponowaniem życia.

— To pan jest skrajnym realistą! A właśnie Wyspiański jest naczelnym szermierzem reakcji przeciw realizmowi—mistrzem neo-romantyków!

— Pozwoli pan, że pomnę te szkolne denominacje, o których nadużywaniu długoby mówić trzeba. Szukam teorii najszerszej, w którejby się zmieściły wszystkie szkoły. Literatura ma swe zadanie główne, integralne: tworzyć znaczące życie. To życie urojone, oczyszczone ze szczegółów do artystycznego celu niepotrzebnych, przesadzone aż do błysków w tymże celu olśniewających, może płynąć nisko przy ziemi, równoległe do rzeczywistego życia; może także pławić się w jakichś eterach prastarych, nawet bezwiekowych i nieokreślonych przez zwykłe warunki fizyczne człowieczego bytu. Ale musi być *życiem*, czyli pasmem zdarzeń i myśli, analogicznem do pojęć ludzkich o istnieniu, konsekwentnie związanem przez sens istnienia. Jeżeli wizya poety pozbawiona jest myśli przewodniej, idei w znaczeniu artystycznym, przestaje być dziełem sztuki.

Anatol. Nie odmówi pan chyba Wyspiańskiemu myśli przewodnich w ogromnych jego wizjach historycznych?

Ja. Nie odmawiam. Tylko ja tych wizji—nie widzę, bo nie są konsekwentnie stworzone. Rozumiem często zamiar do połowy dzieła i spostrzegam, jak nagle wkracza inny zamiar, potem jeszcze inny, aż się dzieło rozstrzeli na wszystkie cztery wiatry. A najczęściej zamiary jego błakają się po dramatach i poematach bez związku z treścią obrazową, czasem tylko w formie reminiscencji i komunałów.



TALMUDZISTA

MAURYCY TRĘBACZ

Anatol. A myśl przewodnia „Kazimierza Wielkiego?” „Wesela”, „Warszawianki”?! Czyż to nie wyraźne? nie przeprowadzone?

Ja. Takie prawdy odślaniać narodowi, jak żeśmy byli w polityce sentymentalni, albo że lud należy obudzić i uświadomić, albo że w powstaniu 1831 r. był brak wiary w wygraną—to, doprawdy, nie nowe wynalazki. Przypuszczam jednak, że to wszystko nabrałoby osobliwej siły i znaczenia w rękę mistrza, posiadającego „złoty róg”. Ale Wyspiański nie miał nigdy złotego rogu; posiadał jakieś wielkie, lecz popękane i niestrojne narzędzie pieśni. Bez złotej lutni nie uznaję poety.

Anatol, zamiast rozdzierać szaty, lub dożyć na mnie retorycznego noża, jął mi się pilnie przypatrywać. Nie wiem, co myślał, lecz wnoszę z pewnej względności, którą mi następnie okazał, że wietrzył nowy paragraf w historii literatury polskiej.

— ...A może powstaje reakcja przeciw Wyspiańskiemu i neo-romantykom?— Może to neo-realizm?—Kto go wie?!

Ja zaś rozprawiałem z rosnącym ożywieniem, bo poczułem przy sobie cichego sprzymierzeńca. Przed paru minutami wszedł do baru znajomy nasz, wyborny malarz, wielki też miłośnik literatury—i, milcząc, przysiadł się do nas.

Ale rozmowa już upadała. Anatol zawiesił broń z niedość odgadnionych powodów i cędził enigmatycznie przez zęby trzeci kieliszek złotego jakiegoś likworu.

Nagle malarz, jakby się zbudził z gorzkich rozmyślań, rzekł ponuro:

— Ach, bo też załgaliśmy się już o Wyspiańskim tak dalece, że i cofnąć się trudno!

Tego dnia nie było już dalszej rozmowy.

ZYGMENT RÓŻYCKI:

EKSTAZA.

Cudnych organów huczą dźwięki,
Jakieś niebieskie grają arfy,
Wokół wonięią kwietne pęki,
Wokół słoneczne płyną szarfy.

Wokół coś śpiewa, coś tchnie wiosną,
Coś się roztopia, rwie w podniebie,
Płomienne światy w bezmiar rosna,
Świat się w płomiennych skrach kolebie.

Wokół coś śpiewa, drga tęsknotą,
Bucha młodością, kipi szaleń,
Wiruje gwiazd ulewą złotą,
Wiruje tęcz iskrzącym miałem.

Coś się rozkłębia, coś przewala
W fata-morgany barwne wstęgi,
Coś mnie porywa, coś oddala
Od ruin życia w przeczuć kręgi.



Taki już los mój...

Taki już los mój, taki los!
Mieć uczuć żar,
Zachwytów pęd
I tęsknot huragany,
I młodość kwietną—
I widzieć, jak wezbrany
Prąd życia drze mnie w strzęp,
Jak Parki złe
Nić marzeń moich przetną,
Jak młodość zczesznie w mgłach!

Taki już los mój, taki los!
Mieć skrzydła rozpostarte
I rozszumiony lot —
I nie módz wzbić się wzwyż,
O gwiazd uderzać splot,
O chmur skłębionych wartę,
Gdzie lśni miesiąca krąg—
I tylko jak ten gad
Po stęchłej ziemi pełzać,
I zgniłym prochem być,
I żyć—i żyć—i żyć!!



SAMARYTANIN

MAURYCY TRĘBACZ

HENRYK NUSBAUM:

NA NUTĘ EKKLESIASTES.

VI.

1. Zwiedzałem domy obłąkanych, widziałem mieszkańców ich smutną dolę.

2. Oh! jakże litości godni są ci pośród nich szczęśliwcy, którzy się królami być mniemają, i ci, którzy się bogaczami być mniemają i którzy się prorokami być mniemają, jakże bowiem jaskrawie w złudzeniach ich dziecinnych potęguje się obraz marności rzeczy ludzkich!

3. Ale są tam dużo, dużo nieszczęśliwsi; są, którzy o wschodzie słońca pełni są obawy, w południe przerażeni są, o zmroku lęk je przejmuje, a noce całe w trwodze drżą i nie mają wypocznienia.

4. Są tam, którzy dnie, tygodnie i miesiące płomienie krwawe w oczach i duszach mają i nie mają wypocznienia.

5. Są tam matki, które lata mnogie nie ustają widzieć martwego dzieciątka swojego z twarzyczką siną i rozwartymi mętnymi oczkami, i w niemem osłupieniu i zamilkłej na zawsze rozpacz, jako skała nieruchoma, wpatrują się w kołyskę z marą okropną ukochanej, straconej dzieciny.

6. Są i tacy, którzy tarzają się i wiją przez żywot cały w zgryzotach sumienia za zbrodnię, jakiej nigdy, jako żywo, nie popełnili.

7. Są i przytłoczeni przeświadczeniem, że z ust swych tchną powietrze morowe, które wytraca i wytraci ludzkość całą, i śmierć spokoju im nie obiecuje, gdy mniemają, iż z ciała ich gnijącego powstawać będzie mór, który dokona dzieła wytracenia, i w udęczeniu boleją nad strasznym przeznaczeniem swoim.

8. Zwiedzałem domy obłąkanych, widziałem okropne ludzkie dole.

9. Wszak-ci widziałem i inne jeszcze domy obłąkanych; nie stoją one na uboczu miasta, ani obwiedzone są murem wysokim, ani żelaznych krat nie obaczysz w oknach domów tych i wolne mają tam wejście i wyjście chorobą dotknięci, a nieszczęśliwi są bardzo.

10. Troska jest strawą ich codzienną, trwoga i lęk ich nie opuszcza, sen odbiega ich w noce, słońce ich blade jest w południe, kwiat polny nie ma dla nich ni barwy, ni woni.

11. W obłądnie swym głodni są srebra, spragnieni złota, łakną w każdej chwili zysku, tęsknotą wszystkich dni ich żywota bogactwo. Uśmiech bliźniego czoła ich nie rozchmurzy, a łza bliźniego serca ich nie wzruszy, dłoni zaciśniętej nie rozewrze potrzeba powszechna; żywot ich cały, chocia w lśniące odziani szaty, nędzą nad nędzami, a całe ich jestestwo—marność nad marnościami.

VII.

1. A zesłi się u stołu biesiadnego lirnicy, pieśniarze, posągi rzeźbiący, oraz farbą lub rylcem kształty kreślący i winem szumiącym podniecali płomienie uczuć i wyobraźni.

2. I podniósł się najprzedniejszy z pośród lirników i, mówiąc, te słowa rzecze: Jestli co dostojniejszego na tej ziemi nad twórczość mistrzów?

3. Dopełniamy wielkiego aktu stworzenia, albowiem tworzymy.

4. Ze skromnej, szarej rzeki żywota ludzkiego, wskazanej synowi ziemi przez przyrodę, przenosimy go na rzeki insze, których fale, mieniące się purpurą i błękitem, seledynem i złotą połyskiem, niosą łódź skrzydlatą żeglarza po przez niezliczone czary i uroki, do coraz to nowych rozkoszy i zachwyków.

5. Śród otaczającej nas ciemnicy życia, błyskiem myśli twórczej zapalamy pochodnie świetlane prawd, wnikamy w najsubtelniejsze tajniki ducha ludzkiego i objawiamy zdumionej rzeszy nieśnione dotąd przez nią nagie kształty jej własnych uczuć, których ona nieraz nawet ogarnąć zrozumieniem nie jest władną.

6. Zaprawdę, wielcy jesteśmy my, mistrzowie twórczości, lirnicy, pieśniarze, posągi rzeźbiący, oraz farbą lub rylcem kształty kreślący. Na podobieństwo Boga twórczość jest władzą naszą. Na podobieństwo Boga dzielimy między dzieci ziemi udziały

szczęścia, zachwyty lub cierpienia. Jesteśmy zaiste twórcami mnogich żywotów, rozkoszy i bólów.

7. Oto kielich z kryształu górskiego wyrznięty, barwiący w ametysty szumiące w nim wino, wychylałam na cześć twórczego w kunszcie piękna ducha człowieka, na cześć braci lirników, pieśniarzy, posągów rzeźbiących, oraz farbą lub rylcem kształty kreślących, na cześć—wielkiej szarej rzeszy—świeczników, bogów!

8. A światło jasne i zgiełk niezwykły, wychodzące z okien komnaty biesiadnej, zatrzymały kaznodzieję, tuż pod murami domu przechodzącego, a wszedł był do komnaty, zatrzymał się u jej progu i usłyszał był wszystkie słowa najprzedniejszego lirnika.

9. Ten ci zaś, zoczywszy kaznodzieję, rzecze: Oto, bracia moi, wszedł w nasze progi kaznodzieja. Uprośmy go, by rzekł nam, co myśli o mistrzostwie w kunszcie piękna. I uprosili kaznodzieję; i ten, podszedłszy ku środkowi komnaty, tak się do biesiadników odezwał:

10. Pysnił się kiedyś powietrza pęcherzyk, iż wzniósł się pod sam strop rurki włosowatej, napełnionej wodą, i że wypełniał sobą całą przestrzeń jej światła.

11. Jesteście zaprawdę u szczytu i szeroką zajmujecie przestrzeń życia ziemskiego, pomnijcie jednak, jak nieskończenie wąską zajmuje przestrzeń śród bytu samo życie.

12. Dała synowi ziemi łaska stworzenia kryształową żrenicę, a po za nią misterną siatkę nerwową i tkliwą a przekunsztowną miążgę mózgową, i w nikłym tem ziemskim pielgrzymowaniu uciesza go i nieba błękit, i jutrenka różana, i szkarłatny zachód, i zmienna wód błyskotliwość i zieleń rozmaitego łądu z kwieciem różnobarwnem a wonnem.

13. Dała synowi ziemi łaska stworzenia konchy uszne, za któremi przedziwne a subtelne kryją się klawisze i struny, i tkliwą a przekunsztowną miążgę mózgową, i w nikłym tem ziemskim pielgrzymowaniu uciesza go i szum liści w boru, i szemranie płynącego strumyka, i zgiełk rozkołysanych fal morza, i chór leśnych piewców i głos wdzięczny bliźniego swojego.

14. I liczne jeszcze z mocy wielkiego aktu stworzenia spłynęły łaski ku nikłemu ziemi pielgrzymowi, by pocieszyć go w upokorzeniu jego i dać odpocznienie niejake śród cierni i głogów życia, śród cierpień i mąk jego pielgrzymki.

15. I, zaprawdę, dostojne jest zadanie wasze, mistrzowie kunsztów szlachetnych, jako że dano wam mnożyć światła w ciemnicy życia i uśmiechów rzadkie kwiateczki w gęstym lesie mąk i bólów ludzkich.

16. Ale nie podnoście dumnie czoła waszego, bo słusznie by zaciemnił mocny szkarłat wstydu jasność oblicza waszego.



POD MURAMI JEROZOLIMY

MAURYCY TRĘBACZ

Układacie w przedziwne sploty zjawiska przyrody i życia, ale zważcie dobrze, ażali chociaż jeden włos w tych splotach jest przez was wywołany z nicości do bytu? Ażali naprawdę posiadliście stwarzania moc?

17. Pomnijcie, iż zgoła nie dano wam stwarzać, jeno układać stworzone, i nie dano wam władzy powoływać do bytu i jednej rzeczy, a jeno bytujące pośród ciasnej przestawiać przestrzeni.

18. Pomnijcie, że w onej ciasnej życia przestrzeni, którą w stosunku do wszechbytu snadnie do małej rurki włosowatej przyrównać się godzi, mieści się wszystko, co ludzkie jest; i wiedza i sztuka i kunszt wszelaki, choćby najwytworniejszy był, w ciasnej życia przestrzeni się mieści i wszystko, co do treści ludzkiego żywota przynależące jest—tylko zasię jedno ludzkie cierpienie, tylko męka jedna przenika ściany wszelkiego ograniczenia, albowiem ona jedyna na ziemi nieskończonością w treści swej jest.

19. Albowiem, zaprawdę, mówię wam, tylko w bólu i męce życie ludzkie brzmięje w nieskończoność przestrzeni i czasu.

20. A powiedzcie mi, wy, dumni mistrzowie kunsztu pięknego: jaka moc jest wasza w kojaniu zrodzonej męki ludzkiej,

w tłumieniu poczętej? Zaiste, że wąta nazbyt.

21. Nie ustawajcie przeto ozdabiać ścian ciasnej celi ludzkiego żywota w głębokie perspektywy, ale zasię pomnijcie, że prawdziwą głębią w życiu ludzkim jedno jest cierpienie.

22. Zdobnictwo wasze życia ludzkiego jedną najprzedniejszą wartość ma w tem, że dano mu jest kształtować serca w szlachectwo tkliwości i miłosierdzia; tem ci większa hańba tym pośród was, którzy do wizerunków swoich zażywają farb, szerzących cierpienia rodzącą truciznę, którzy kadzielnice misterne wznoszą, a palą na nich kadzidła, które, miasto podnosić nastrój serc, oddychające niemi w mękach gubią.

OR-OT:

CYMBALISTA.

Długi chałat atlasowy, pas jedwabny, siwa broda, twarz zmarszczkami poorana, lecz rumieńcem jeszcze młoda. Z pod ogromnych brwi krzaczystych modre oczy patrzą bystrze,—to ostatni cymbalista! to ostatni mistrz nad mistrze!

Lat minęło ze trzydzieści, gdy już starzec śpi w mogile, a jam dziwnej tej postaci nie zapomniał ni na chwilę. Wciąż mi stoi przed oczyma, z tą poważną, siwą brodą —

i prawników dwóch pamiętam, co pod pachy grajka wiodą.

Wszedł muzykant na podwórze. Wnuk zydelek mu rozkłada, starzec kłania się z godnością, na zydelku potem siada. Zdjął kapelusz z wielkim rondem, tylko myckę ma na głowie, z tabakierki zażył, kichnął... Niechże będzie mu na zdrowie!

Wnet cymbały położono na stoliku tuż przed grajkiem: z takim rzadkim instrumentem trza obchodzić się, jak z jajkiem! Grajek chustką w wielkie kraty otrzepuje struny bacznie, wznosił wzrok w górę, zadumał się: uważajcie! zaraz zacznij!

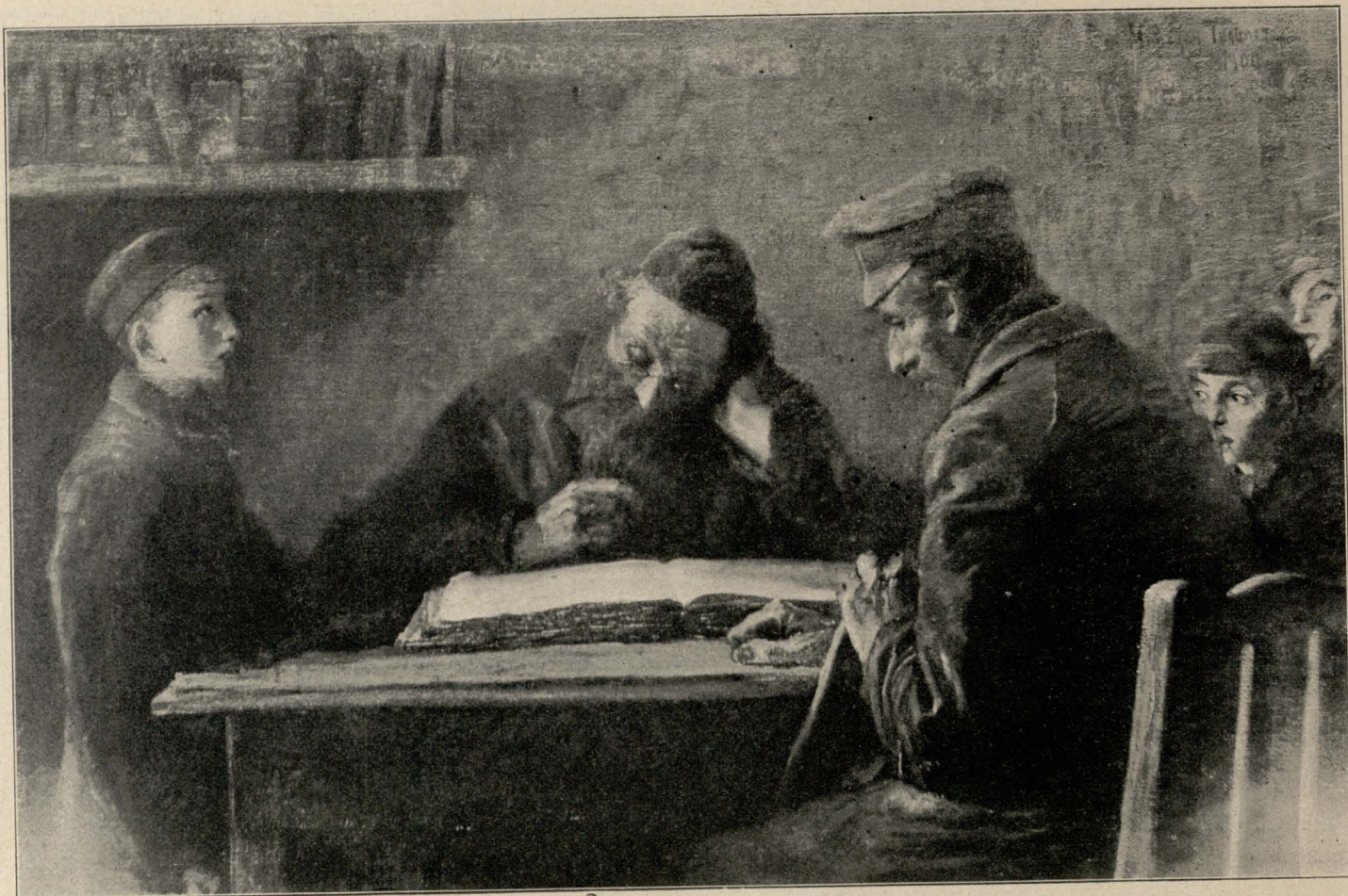
Co grał Żyd ów — nie pamiętam: czas melodyę wywiął z głowy, ale pomnę, że w jej tonach dzwonił jakiś dźwięk majowy. Dźwięk, tak rzadko dziś słyszany w chmurnej życia zawierusze, — czasem we śnie mi się ozwie, wyzłacając smutną duszę!...

Co grał Żyd ów — nie pamiętam! lecz do dzisiaj czuję jeszcze to krwi granie, te łzy w oczach, te zapału słodkie dreszcze. Przypominam snów krainę od złej jawy taką inną — i pamiętam, jak do grajka siałem duszę swą dziecianną.

Hej! sypałyż się groszaki i trojaki i piątaki! ledwo zbierać nadażyły owe bosa dwa chłopaki. W każdym oknie pełno twarzy, a twarz każda łśni radośnie, tak, jak temu, co to w ziemie ma uroczy sen o wiośnie...

Lat minęło ze trzydzieści, kiedym widział cymbalistę, a do dzisiaj w moim sercu owe tony drżą srebrzyste. Idzie od nich taka siła i uczucie tak ogromne, że do grobu, ach, do grobu nic! nic z tego nie zapomnę!...





RABBI

MAURYCY TRĘBACZ

MAURYCY TRĘBACZ.

SYLWETKA.

Wierny półwiekowej tradycji *Tygodnik* stara się usilnie zaznajamiać szerszy ogół z działalnością twórczą wyróżniających się przedstawicieli sztuki polskiej.

Dając w dzisiejszym numerze szereg reprodukcji z obrazów Maurycyego Trębacza, zaznaczamy w ten sposób poważny, bo sięgający już dwudziestu pięciu lat, okres jego pracy artystycznej, poświęcony całkowicie ukochanemu przez niego zawadowi.

Dla każdego polskiego malarza dwudziestopięcioletnie wędrówki po szlakach sztuki jest i długim i znojnym etapem. Gdy się, po upływie tego czasu, zwróci w przeszłość, to się widzi całe lata walk i niepowodzeń, szare dni ciągłego wysiłku, a szczęśliwy ten, który na tem tle wynaleźć może kilka jaśniejszych promieni sławy lub choćby uznania.

Trębacz w karierze swej miał chwile jaśniejsze: one mu pozwoliły nie zatracić wiary w siebie, nie roztrwonić zapału w codziennem obcowaniu z rzeczywistością: miał też i zwykłą dolę polskiego malarza.

Urodzony w Warszawie w 1861 r., kształcił się w tutejszej Szkole rysunkowej, która tyłu polskiemu malarstwu przysporzyła prawdziwych artystów. Uczęszczał do niej w epoce, gdy profesorami jeszcze byli Aleksander Kamiński i Gerson. Z najwyższego jej kursu przeniósł się do Krakowa i tu pracował pod kierunkiem Łuszczkiewicza.

Po paru latach widzimy go w Akademii monachijskiej, którą kończy ze srebrnym medalem. W tym czasie, t. j. około 1884 r., zaczyna swą samodzielną twórczość, wystawiając bądź w Monachium, bądź nadsyłając do Warszawy i Krakowa, pierwsze swe rodzajowo-charakterystyczne obrazy.

W Monachium maluje duży obraz, osnuty na tle biblijnem. Jest to ilustracja do przypowieści

o dobrym Samarytaninie. Obraz, wystawiony początkowo na jednej z większych monachijskich wystaw, ogólnie się podoba. Młody artysta zaznacza wyraźnie swą samodzielność w poważnym akademickim kierunku. Utwór ten zjawia się następnie na pierwszej wielkiej wystawie Sztuki polskiej w Krakowie, we wrześniu 1887 r., gdzie jest

innych. Wykonywa je w Monachium przez ciąg kilkunastoletniego tam pobytu.

W 1889 r. na powszechnej paryskiej wystawie ma sobie przyznany medal brązowy za „Samarytanina”—tenże sam obraz, wysłany w kilka lat potem do San-Francisco, przynosi artyście medal złoty. W 1891 r. na powszechnej wystawie berlińskiej w oddziale polskim ma obraz: „Piwiarnia monachijska”, w 1894 r. we Lwowie dwa obrazy: „Smutne myśli” i „Ciekawa modelka”, za które otrzymuje medal brązowy. Maluje jeszcze: „Dysputę”, „Piątkowy wieczór”, „Przy winku”, wreszcie dużą kompozycję: „Koncert Jankiela”.

Około 1900 r. przenosi się do Warszawy, gdzie oprócz „Jankiela” i paru rodzajowych kompozycji maluje przeważnie portrety. W roku zeszłym wystawia w jednym z warszawskich Salonów liczną seryę krajobrazów malowanych z natury, oraz figuralnych studyów. Od niedawna pracuje nad portretami w Łodzi.

W długiej już swej karierze Trębacz namalował wielką ilość obrazów; wśród nich są rzeczy niezwykle dobre, jak: „Samarytanin”, „Smutne myśli”, „Jankiel”, „Piątkowy wieczór” i inne. W malarstwie polskiem należy on do grupy, która wydała Gottlieba i Hirszenberga; w grupie tej zajmuje wydatniejsze miejsce. Polak z uczuć, Trębacz jest z pochodzenia Żydem i ma w swem malarstwie rdzenne cechy szczepu: smutek i tęsknotę—stąd jego sceny z życia Żydów są może najbardziej charakterystycznymi okazami jego talentu.

Jako niezwykle fachowo wyrobiony artysta, twórca „Samarytanina” uosabia przeważnie kierunek akademicki, i tem się odróżnia od takiego np. Hirszenberga, który był przedewszystkiem realistą. Obrazy jego mają dużo w sobie powagi, wykończenia, są zawsze umiejętnie zharmonizowane.

Maurycy Trębacz, pomimo swych dwudziestu pięciu lat pracy samodzielnej, stoi wciąż na wyłomie, tworzy i stara się iść drogą postępu. Karyera jego długą ma jeszcze drogę, tembardziej że wciąż jej towarzyszy zapał młodości.

H. PIĄTKOWSKI.



Maurycy Trębacz (autoportret).

jednym z wydatniejszych okazów współczesnego malarstwa.

Następuje cały szereg kompozycji: „Rekonwalescentka”, „Z życia monachijskiego”, „Smutne myśli”, „Cymbalista”, „Z życia Żydów” i wiele

JÓZEF KALLENBACH.

List A. Mickiewicza i A. E. Odyńca

DO PANI ANKWICZOWEJ.

Listy, po raz pierwszy tu z autografu wydane, interesują nas i ze względu na Mickiewicza i ze względu na Odyńca. Dorzucają one kilka szczegółów biograficznych; wobec znanych zaś i powszechnie cenionych „Listów z podróży” Odyńca, ukazują nam typ listu takiego w pierwotnym kształcie, bez retuszu. Do nowego wydania listów Odyńca i ten do pani Ankwiczowej wejść powinien. Oba listy podaję z zachowaniem wszelkich właściwości autografu, który jest dziś własnością pana Konstantego Popiela. Składam Mu i na tem miejscu podziękowanie za pozwolenie wydania tych listów.

Józef Kallenbach.

List formatu ćwiartkowego 16.6 × 21 cm.; papier dziś koloru splotawego, jasno-burakowego, znak wodny: muszelka morska. Pismo Odyńca bardzo drobne, ale czytelne; pismo Mickiewicza trochę większe. Litera w nawiasach [] oznaczają stronie listu.

[a]

1830. Maja 10. Partenope ¹⁾.

Najłaskawsza Pani nasza Dobrodziko!

Gdybym się nie wstydział Panny Henryetty, która mi przepowiadała, iż tydzień przynajmniej po wyjeździe Pań zostaniemy w Rzymie, pisałbym niezawodnie z Rzymu do Pani. Ale nie chciałem wyznać przed przybyciem do Neapolu, żeśmy musieli czekać aż do piątku, nie mogąc znaleźć weturyna. Nakoniec nasz protektor Feluś ²⁾ zdecydował, iż trzeba wziąć Angrezaniego, z czegośmy byli bardzo radzi i w sobotę o 10 w nocy stanęliśmy w Neapolu.

Wiem, że mi Pani będzie niepospolicie zażdrościć, kiedy się pochwałę, jakie mi szczęście niespodziewanie spotkało. W dzień wyjazdu Pań po południu przyszedłszy do Pani Węsierskiej, zastałem ją na wyjeździe do Ojca Świętego. Pojechaliśmy razem i dzięki P. Brutti ³⁾ mieliśmy formalną audyencyę. Przyznam się Pani, iż pomimo tego wszystkiego, com słyszał od Pań i od Garczyńskiego o szczególniejszej dobroci i uprzejmości Piusa VIII, przyjęcie, którego doznaliśmy, przewyższyło moje oczekiwanie. Był, jak się zdaje, w przedziwnym humorze i widać, że się ma dobrze. Jako prawowitni katolicy zaczęliśmy od pocałowania axamitnego trzewika, za co nam bardzo grzecznie dziękował ⁴⁾.

Rozmawiał po kolei ze wszystkimi, zaczawszy od Signora Principessa, bo tak Panią Węsierską nazywał, aż do małej Wincusi ⁵⁾, która się wsparła na jego kolanie i którą ustawicznie głaskał. Pytał się nas o nazwiska i z jakiej prowincji Polskiej jesteśmy, za każdą naszą odpowiedź powtarzając po kilkakroć: „bravo, bravo, mi fa' l piacere” — mianowicie, gdy mu na jego zapytanie, czy prowincje polskie pod heretyckimi monarchami zostają zachowują santa fede catolica? odpowiedział, że zachowują i zawsze zachowywać będą. Prosiłszy go nakoniec o błogosławieństwo, które nam z wielką uprzejmością dać raczył.

[b] Chociaż mi Pani powiedziała otwarcie, że się za mnie nigdy nie modli, jednakże ja w tej chwili dzieliłem się w myśli z Panią otrzymanem błogosławieństwem. Mam więc niejaki pra-

wo prosić nawzajem Kardynała ¹⁾, aby mi swoje przysłać kiedy raczył.

Nie wyobrażaj Panie, jakieśmy się ostatnich dni nudzili w Rzymie. Samo nawet Colyseum nie potrafiło mi rozerwać. Chodziliśmy wszyscy jak powarzeni. Nie stało nam nakoniec cierpliwości czekać aż do piątku. Oddawszy nasze rzeczy na ręce protektora, po południu we czwartek, z Januskiewiczem ²⁾, Gajewskim i Garczyńskim ³⁾ pojechaliśmy na noc do Albano. Mieszkaliśmy w tej samej oberży, gdzieśmy się niegdyś, dzięki Paniom, tak wesoło bawili. Nazajutrz o 8 przyjechał Feluś i z wielkiem naszym ukontentowaniem ruszyliśmy dalej.—Podróż przeszła nam przyjemnie i bez żadnego kazu. Ale, żeśmy się bardzo spieszyli, nie mogłem korzystać z łaskawej informacji Pani, zostawiając na powrót zwiedzenie miejsc w niej wskazanych.

Nim powiem co o Neapolu, mam wpród prosić Pana Hrabiego ⁴⁾, ażeby raczył przyjąć nasze powińszowania i najprzejazniejsze życzenia z powodu przedwczorajszych imienin, o których dobrześmy pamiętali i nieraz w ciągu dnia mówili. Że zaś ta bazgranina dojdzie Panią, jak się spodziewam, w dniu 15 Maja, niech mi więc będzie wolno powiedzieć, iż pamiętni wiecznie dobroci Pani, nie przestaniemy nigdy życzyć Jej najmniej stu lat zdrowia, szczęścia, wesołości, spokojności i wszelkich pomyślności.

Co się zaś tyczy Neapolu, pomimo że, jak Panie wiedzą, uszy już nam bolały od słuchania różnych o nim opowiadań, widzę, żeśmy całkiem fałszywe mieli o nim wyobrażenie. Pierwsze chwile przybycia zabrało nam szukanie kwatery, której w pięciu oberżach nie mogliśmy dostać. O pierwszej dopiero po północy znaleźliśmy jakąś na *Vico della Concezione*. Sam jeszcze nie wiem, czy zła, czy dobra, a zatem, jak w niej długo zostaniem. Z balkonu widzimy Wezuwiusz, który, z wielkiem mojem zmartwieniem, nie tylko że nie wybucha, ale nawet nie dymi. Większą część wczorajszego ranku i wieczoru przepędziliśmy w villa Rea[c]le. Szkoda, że Pani nie napisała w informacji numeru swego niegdyś mieszkania na Chiaja. Szukaliśmy go na domyśl i dotąd nie wiemy. Nie oddałem jeszcze dotąd powierzonych mi listów, bardzo przepraszam; ale się cieszę, że będę miał coś przecie interesującego donieść Paniom w następującym liście. Wyprawię go, skoro odbiorę wiadomość, dokąd mam adresować. Mickiewicz osobno będzie pisał do Pani, jak się tylko z następczynią Sybilli Kumejskiej, do której ma list od Pani, obaczy.

Dnia 11 we wtorek rano.

Z tej właśnie przyczyny list mój do dziś dnia spóźniony wieczorem chyba wyruszy. Byłem wczoraj na Capo di Monte, ulubionym spacerze Pań. Z wielu punktów prawda, że piękny widok. Dziś idę widzieć piękną Marcellinę, jeśli deszcz nie będzie padał. Całą noc lał jak z wiadra. Lękam się, aby do reszty Wezuwiusza nie zgasił.

Wiadomości rozmaite. Kościół św. Franciszka ze swemi portykami wygląda po Watykanie, jak bocian z podciętemi skrzydłami. Nie jadłem jeszcze lodów dal Signor Antonio d'Amore, ale ze wszystkich Caffé e Sorbetiere ta mi się najbrudniejszą wydaje.—W tej chwili jest u nas Jazwiński, który we czwartek wyszedłszy piechotą z Rzymu, przedwczoraj wieczorem tu stanął. On i Feluś, który mieszka z nami, oświadczają Państwu swoje uszanowanie. Pani Poletyłowa wczoraj rano wyjechała do Rzymu. W Fondi ⁵⁾ opowiadano nam smutną katastrofę del Conte Severino, który za zgubienie paszportu dostał nie zbyt lekkie pogłaskanie macierzyńskiej ręki. Ale postrzegam, że zaczynam wpadać w ton jakiej Przeoryszy lub, co gorsza, sąsiadki Pań na Via Mercede. Kończę więc poleceniem siebie dobro-

ci Państwa, łaskawemu wspomnieniu Panny Henryetty, błogosławieństwu Kardynała; prośbą o rychłe uwiadomienie nas o zdrowiu Pań, o odbytej podróży i o zamiarach dalszych i nakoniec wyznaniem, żeśmy

z głębokiem uszanowaniem i nieodmienną życzliwością

Najłaskawszej Pani

najwierniejszym sługą

A. Edward Odyńiec.

Posyłam do Muzeum Panny Henryetty liść z grobu Wirgiliusza, który w tym celu zerwałem. Czemu chęta bogata, tem rada. Panu Strzeleckiemu ¹⁾ i P. Alexandrowi tysiąc przyjaznych ukłonów.

Po południu.

Byłem w grocie Pauzylipu i na grobie Wirgiliusza i na Mergelina.

Panny Roeseter wyjechały na całe lato do Ischii. Bardzo żałuję. Dotąd, przyznam się, pomimo nowych widoków dosyć nam nudno. Żadne nowe widoki nie nagrodzą starych znajomości, a tem bardziej łaskawych przyjaciół, jakich mieliśmy w Rzymie. Posyłam do kolekcji bilet Mickiewicza — od wczoraj ma nieco chrypki, ale to tylko katar i nic więcej.

[d]

Pani Dobrodziko — Według rachunków naszych już Państwo muszą być we Florencji; odprowadziliśmy Ich myślą aż do bram stolicy tokańskiej i obchodziliśmy ²⁾ w dylizansie imieniny Pana Hrabiego i Pani Dobrodz., żałując, że nam z daleka tylko wolno przesyłać życzenia. Ile s preczucia sądzić mogę, podróż Państwa była zapewne pomyślna i przyjemna; czekam niecierpliwie na list przyrzeczony, któryby te moje domysły potwierdził.

O sobie nic w szczególności donieść nie umiem, przynamniej nic ciekawego. Chociaż Rzym bardzo kocham, wyjechałem do Neapolu z radością; szkoda, że Angrezani zbyt spieszy; oprócz pięknej nocy spędzonej w Terracynie ³⁾, nie prawie nie widziałem, bo nie może nazwać się widzeniem ieden rzut oka na Guajetę ⁴⁾; i na inne okolice, powitane tylko i pożegnane.

W Neapolu dotąd przechodzę Toledo ⁵⁾ i Kiaję naprzód i nazad iak żołnierz na warcie, albo nad brzegiem morza siedzę iak lazaron. Byłem przecież w Pauzylipie i w Certosa i u bram *trenta nove*. Cóż kiedy pomimo najwyższej chęci nie widziałem się dotąd z capucinellą! Taką mam straszną chrypkę, że nie tylko przez kratę, ale w ucho nie mógłbym z nikim rozmawiać. Czekam, aż mi głos powróci, w ten czas poradziwszy się prorokini, udam się w dalsze około miasta podróże. Kazałem już robić galerję, albo mówiąc po prostu paczkę na antyki, ktoremi zbogacić myślę muzeum Panny Henryetty. Nie dosyć mi na tem, żeby tylko o mnie w inwentarzu wspomniano, chcę koniecznie dobudować całe *braccio nuovo* ⁶⁾, składające się przynajmniej z półkociowej szufladki, gdzie imię moje wielkimi literami wryję. Śmiem nawzajem upraszać, ażeby Panna Henryetta przysłała mnie przyrzczone opisanie podróży do Florencji. Będzie to najdroższy rękopism w całej mojej bibliotece, w większem u mnie poszanowaniu, niż na Watykanie rękopism Cicerona. Zwiedziłem jego Willę po drodze; znajduję, że willa mojej sąsiadki na ruinach Palatinu jest daleko piękniejsza, a tak łaciński stary cicero co do gustu musi młodszemu polskiemu ustąpić.

Racz Pani Dobr. oświadczyć ukłony moje Panu Hrabiemu i Pannie Mareyannie. Kartkę do Jej albumu przeszedł iak tylko się dowiem, gdzie mam list adresować. Polecam się pamięci P. Strzeleckiego i pozdrawiam P. Alexandra.

Pani Dobrodziej[k]i

życzliwy i obowiązany sługą

Mickiewicz

¹⁾ Antoni Strzelecki, nauczyciel i mentor młodzieńczego wówczas księcia Aleksandra Czartoryskiego. „Listy z Podr.” III, 34-
²⁾ wyraz ten poprawiony, a pod nim na marginesie z lewej strony dopisane przez Odyńca: *obchodzić będziemy.*

³⁾ Ob. „Listy z Podróż” Odyńca, t. IV, (1878) str. 8.

⁴⁾ Gaeta, ob. tamże str. 12.

⁵⁾ Via Roma głą Toledo, słynna z tłumem spacerujących; Chiaja, wybrzeże morskie w Neapolu.

⁶⁾ Nazwa jednej części Muzeum Watykańskiego.

¹⁾ Dawna nazwa Neapolu.

²⁾ Niegolewski, ob. „Listy z Podr.” t. III, str. 369 i in.

³⁾ Monsignor Brutti, ob. „Listy z Podr.” t. III, str. 404 i in.

⁴⁾ W dopisku z dziesięć wyrazów zamazanych atramentem; pod tem ręką Odyńca: Przepraszam za tę mazeninę — Byłem się omylił.

⁵⁾ córeczki pani Węsierskiej.

¹⁾ żartobliwa nazwa panny Marcelliny Łempickiej. „Listy z Podr.” t. 3, str. 163. Tamże wiersz do niej Odyńca p. t.: „Mój Kardynał”.

²⁾ Adolfem, bratem Eustachego.

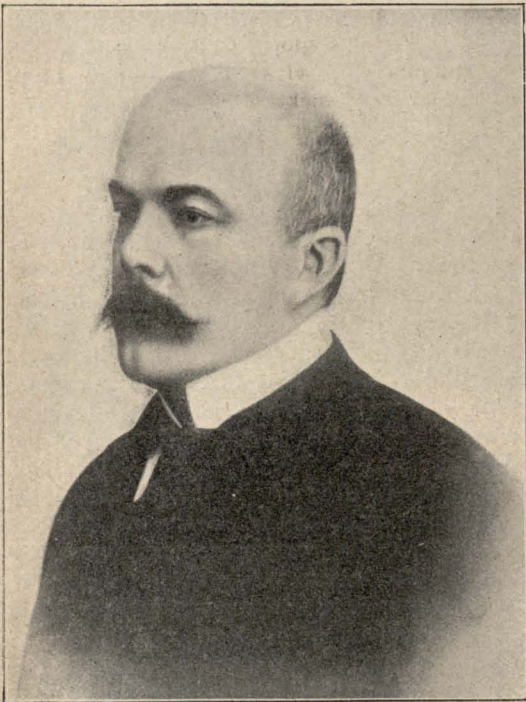
³⁾ Stefanem, poetą.

⁴⁾ Ankwicza, ojca Ewy Henryetty.

⁵⁾ Miasteczko na granicy ówczesnego królestwa Neapolu,

Ręką Odyńca dopisane:

Ach! żeby Panie wiedziały, jakiegośmy w tej w tej chwili oryginała poznali. Na nieszczęście jest to nasz ziomek, niejakiś Stecki, którego P. Jąźwiński nie wiem skąd przyprowadził. Postyszawszy nasze imiona: „Czy też to ten sławny w dziennikach warszawskich P. Mickiewicz?” zapytał.—*Jaźwiński*: „Czy czytałeś-że co z jego poezyi?” *St[eck]*: „Czytałem”. *Jaźw.*: „Cóż?” *St.* (z miną sędziowską): „Bardzo wiele pięknych rzeczy”. *Jaźw.*: „Cóż przecie?” *St.*: „Bardzo mocne rzeczy”. *Jaźw.*: „Ale cóż?” *St.*: „Ja nie jestem amatorem poezyi, ale to bardzo piękne rzeczy, z gustem. „Gazeta Polska” bardzo wiersze p. Mickiewicza chwaliła”.—Gdyby poczciwy Feluś nie wprowadził go co prędzej, jużbyśmy się nie mogli byli wstrzymać od śmiechu.—Jeszcze raz żegnam Panią.



KAZIMIERZ HR. BADENI.

Nad trumną wybitnego polityka.

Był dzień 27 listopada 1897 r. W Wiedniu wybuchły rozruchy uliczne. Wzburzony tłum docierał aż prawie do bram Burgu i uniemożliwił zwykłą przejażdżkę codzienną cesarza.

Zniecierpliwiony Franciszek Józef cierpko zagadnął przybywającego prezesa ministrów, Kazimierza Badeniego:

— Panie hrabio! Robisz mi pan rewolucję w Wiedniu!

W chwilę potem zostało wręczone i przyjęte podanie o dymisy, odrzucone jeszcze przed paru dniami.

Był to koniec kariery politycznej jednego z najwybitniejszych współczesnych polityków polskich.

Nikt się tego zresztą nie spodziewał. Powracającego do Galicji Kazimierza hr. Badeniego witano, jak tryumfatora. Pod wodzą Adama Sapię, „czerwonego księcia”, wyruszyła do Buska deputacja 250 najwybitniejszych obywateli w celu złożenia hołdu upadłemu mężowi stanu. Do hołdu przylączyły się kluby słowiańskie Rady Państwa.

Pamiętano Badeniemu dwa akty polityczne: reformę wyborczą i rozporządzenia językowe dla Czech. One to właśnie oburzyły Niemców ze wszystkich stronnictw. Nastąpiła obstrukcja. Słynny z żelaznej ręki były namiestnik Galicji chciał przełamać opór posłów: wprowadził wojsko do parlamentu. Nie znalazł poparcia w monarsze-Niemcu, a więc stojącym sercem po stronie opozycji niemieckiej. Upadł.

Niebawem potem, w Paryżu, w poufnej rozmowie, hr. Badeni zwierzał się ze swych wrażeń wiedeńskich. Mówił szczerze, ze słowami się nie

liczył. Wyraził się niepocholebnie o inteligencji sędziwego cesarza.

Traf—może i nie traf—zrządził, że rozmowę podsłuchano i treść jej Franciszkowi Józefowi doniesiono. I tu właściwie—nie 27 listopada 1897 r.—przekreślona została dalsza karyera polityczna Badeniego.

Blisko dwanaście lat dumny i ambitny mąż stanu przeżył w zaciścu życia prywatnego. W sile wieku znalazł się na nieżądaną emeryturę. Aż przyszedł atak sercowy i mocnego człowieka powalił. Szkoda niedostatecznie zużytkowanych wielkich zdolności—oto wrażenie ogólne, które nasuwa się przy rzucie oka na żywot Badeniego.

* * *

Kazimierz hr. Badeni urodził się w r. 1846 z ojca Władysława, wybitnego posła i mówcy sejmowego. Kształcił się pod kierunkiem znanego powieściopisarza, Jana Zacharyasiewicza. Po ukończeniu uniwersytetu Jagiellońskiego (wydziału prawnego) poświęcił się karierze administracyjnej. Pracował początkowo w ministerium spraw wewnętrznych w Wiedniu, poczem był starostą w Żółkwi, w Rzeszowie, delegatem namiestnictwa w Krakowie, posłem do sejmu galicyjskiego, zasiadającym na ławach stronnictwa zachowawczego. W r. 1888 został mianowany namiestnikiem Galicji, w r. 1895 prezesem gabinetu austriackiego. Od r. 1897-go poświęcił się administracji swoich majątków, zachowując jedynie mandat poselski do sejmu galicyjskiego. Brat jego, hr. Stanisław, jest marszałkiem krajowym Galicji, a córka Wanda była zaślubiona ś. p. Adamowi hr. Krasieńskiemu.

* * *

Działalność Badeniego na szerszej arenie politycznej datuje od chwili, kiedy stanął na czele zarządu Galicji. Na tem stanowisku złożył dowody pierwszorzędnych zdolności administracyjnych. Podwładnym świecił przykładem niezamordowanej pracy i pracy takiej samej od nich wymagał; przypomnijmy znaną anegdotę, że zaraz po objęciu urzędowania przyszedł do biur namiestnictwa o dziewiętej rano i nikogo, naturalnie, nie zastał, pozostawił więc urzędnikom bilety wizytowe, co oczywiście wywarło skutek natychmiastowy.

Zapущone sprawy krajowe uporządkował; zaprowadził porządną i sprawną administrację. Wystawa lwowska 1894 r. była niejako szczytem tryumfu rządów Badeniego, pokazem tego, co zdziałano w Galicji na wszystkich polach.

Mniej szczęśliwą miał rękę na polu politycznym. Może dlatego, że ręka była zbyt „silna“.

Na okres rządów hr. Badeniego przypadają początki ruchu ludowego i socjalistycznego w Galicji. Prześladował te dążenia z całą właściwą sobie bezwzględnością. Nieustanne procesy polityczne (przypominamy najgłośniejszy w r. 1889 Wystoucha i tow.), wydalania studentów z Królestwa, w których widział namiestnik główne źródło fermentu, władza dyskrecyjonalna starostów, konfiskaty pism—oto stosowane nieustannie środki.

Cóż się okazało po latach dwudziestu? Oto stronnictwo ludowe ma posłów kilkunastu, a przywódca jego jest wiceprezesem Koła i sięga po tekę ministra. Ruch socjalistyczny rozwinął się do tych granic, do jakich mógł dojść w kraju nie przemysłowym. Fakty te muszą nasunąć wątpliwość co do skuteczności represji badeniowskich, natomiast niewątpliwem złem tej epoki pozostanie rozgo-

ryczenie, wzmożona walka stronnictw, nadużycia wyborcze.

Taka sama bezwzględność, jednakże oparta o poglądy szersze, cechowała rządy Badeniego, jako prezesa ministrów. W Galicji, jako namiestnik, był zanadto członkiem prawicy i obrońcą interesów większej własności; z pałacu wiedeńskiego objął szersze widnokreśli i dlatego ten skrajny zachowawca przeprowadził liberalną reformę wyborczą, a obroną praw narodowych pobratymców wywołał rozruchy ludowe. Szedł zawsze na przebój, a tu, na szerszej arenie, zbrakło mu siły wykonawczej, by zgnieść bezwzględnie opór, jak to czynił w Galicji.

Był to człowiek twardy, mocny, wielkich zdolności i wielkiej pracy. Są to cechy charakteru, które nakazują szacunek. Postawiony w innych warunkach, byłby z pewnością naprawdę wielkim mężem stanu. W tych okolicznościach, w których rozwijał swoją działalność, był wybitnym politykiem, który przynosił zaszczyt imieniu polskiemu.

Naród polski nie zapomni swemu synowi, że imię polskie związał z reformą wolnościową, z rozszerzeniem praw politycznych ludów, że w wiekowym sporze stanął po stronie braci szczepowych, a nadewszystko, że, kiedy chodziło o uzyskanie pozwolenia monarszego na złożenie zwłok największego Polaka obok królów polskich, bez namysłu rzucił na szalę swoje stanowisko, by pozwolenie przeważać. I w pogrzebie uroczystym Mickiewicza uczestniczył nie jako urzędnik cesarski, lecz jako jeden z pierwszych obywateli wspólnej Ojczyzny.

L. W.

S

SAVITRI:

ATLAS.

Na moich barkach trzymam glob —
Wyteżam moc, wyteżam moc..
Gdy padnę, runie nieba strop —
I będzie śmierć i będzie noc.

Straszne omdlenie moich bark..
Wyteżam siły — niema sił..
Głos nie wychodzi z suchych warg..
Dajcie ocean — będę pił.

Daleki szept, daleki huk —
Odbiegły świeże tłumy fal..
Rozwarła paszczę otchłań — wróg —
Szalona rozpacz, ostry żal..

Ja muszę stać! Ja muszę móc!
Ramiona drżą, na oczach kir —
Coś rwie się... Ból... Krew bucha z płuc..
Runąłem... Wkoło mrok i wir..



ZJAZD TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ.

Siedemnasty z kolei zjazd najpoważniejszej instytucji oświatowej w Galicji odbył się w Kołomyi, od 3—5 b. m., pod przewodnictwem d-ra Ernesta Bandrowskiego, przy bardzo licznych udziałach delegatów ze wszystkich stron kraju. 258 czynnych kół, 26 tysięcy członków, utrzymujących 369 szkół, w których uczy się 10 tysięcy dzieci, 1715 czytelników, obrót finansowy roczny 1 milion 700 tysięcy koron—cyfry to nielada, świadczące o pomyślnym rozwoju tej najpożyteczniejszej instytucji.

Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

STANCE.

JAN MORÉAS.

Obłoki, ukąpane w jasnej dnia pogodzie,
Nad polami, co stoją w skwitających zbożach...
Które mi się jawicie w cichym korowodzie,
Jako senne żaglowce na spokojnych morzach —

Wy, co rychło ciężarne popłyniecie dołem,
Niosąc groźne oblicze jutrzejszego gromu, —
O pielgrzymi niebiescy! z wami leci społem
Serce me, wam podobne — nieznanie nikomu...



Zabawki polskie.

Kto przypatrywał się kiedykolwiek baczniejszemu sklepom z zabawkami dla dzieci, uderzony był niewątpliwie brakiem rozumnej myśli pedagogicznej, kierującej tym działem produkcji, obfitością natomiast wyrobów tandetnych, chybionych w pomysłach i w wykonaniu, nadto, noszących stempel zagraniczny. Nic swojskiego, nic, przeznaczonego dla dzieci polskich, nic, coby wprowadziło te dzieci w świat, dla nich nie obcy. Więc lalka o typie nie polskim, w modnej sukni z trenem, z główką wiedeńskiej lub berlińskiej śpiewaczki tinglowej, więc murzyn, pokazujący język i otwierający szeroko przerażone oczy, więc małpa na łańcuchu, arlekin z błazeńską miną i t. d. i t. d.

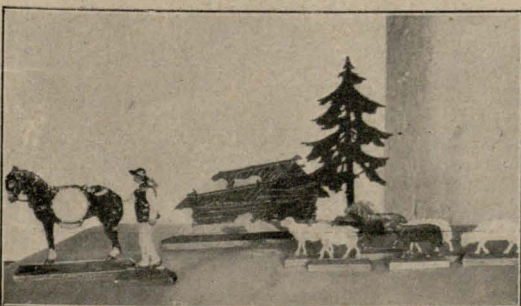
Próżno pedagogowie uzasadniali, że właśnie zabawka, jako nieustanny towarzysz dziecka, powinna być estetyczna, że o jej pożytku nie stanowi ani wysoka cena, ani materyał, z którego jest zrobiona, ale ten moment najpierwotniejszego, najw-



KONKURS TOWARZYSTWA SZTUKI PODHALAŃSKIEJ.
„Wieś Polska” Jana Skotnickiego w Zakopanem.

nego choćby piękna, które tkwić może nawet w grubo ciosanym z drzewa przedmiocie, byle ciosaniu temu towarzyszyła chęć artystycznego wypowiedzenia się.

Dopiero Towarzystwo popierania przemysłu ludowego, wypowiadając walkę niemieckiej i nie niemieckiej tandecie, a dążąc jednocześnie do poparcia i rozwoju sztuki ludowej, wprowadziło po raz pierwszy do sklepów z zabawkami wyroby swojskie, pochodzące ze szkoły w Nałęczowie. Jest też wielką i niewątpliwą zasługą d-ra Ben-niego, że, kładąc podwalinę pod zabawkarstwo polskie, wystąpił tem samem do walki z zalewającymi nas w ostatnich czasach wyrobami chłopów kostromskich, strugających niezdarne, a obce dzie-



„Nadzieja”. Wzmianka pochwalna.

ciom naszym figury „mużyków”, o nieciekawych twarzach i niedźwiedzich ruchach.



„Stragan” Skotnickiej z Zakopanego. Nagroda druga.

Jest to jednak zaledwie początek akcji, która wymaga nieustannej troski i coraz to nowej inicjatywy, nie tylko przemysłowej, ale i artystycznej.



„Bieda”. Wzmianka pochwalna.

nej. Na szczęście sprawa ta zyskała sobie także opiekę ze strony Towarzystwa Sztuki Podhalańskiej, które świeżo właśnie rozstrzygnęło pierwszy swój konkurs zabawkowy.

Nie spełnił wprawdzie ten konkurs pokładanych w nim nadziei, gdyż z 14 nadesłanych pracjury nie nagrodziło nagrodą I rzadnej, uznając jedynie za odpowiadającą wszystkim warunkom pracę pozakonkursową p. Skotnickiego *Wieś polska*, a przysądżając drugą nagrodę *Straganowi* p. Skotnickiej, jednak przyczynił się on do zainteresowania szerszych kół zabawką swojską, posiadającą cechy artystyczne.

Wieś polska i *Stragan*, które widzimy na załączonych ilustracjach, oddane zostały do roboty rzeźbiarzom zakopiańskim. W jakim stopniu zabawki te okażą się praktyczne w użyciu — tego przesądzać niepodobna, to pewna jednak, że na tle ogólnego naszego ubóstwa w tej dziedzinie odznaczają się one nietylko nawskroś swojskimi motywami, ale, co najważniejsza, zupełnie artystycznym ujęciem rzeczy. Zwłaszcza *Wieś* p. Skotnickiego, znanego artysty-malarza, posiada duży urok, a nawet sentyment poetyczny.

Nie można też odmówić swojskości i typowości *bidzie* żydowskiej, oraz szafasowi góralskiemu z charakterystycznym smrekiem i owcami obok.

Dalecy jesteśmy od tego, aby sprawę uważać już za rozwiązaną, jako jednak pierwsze drgnięcie w kierunku stworzenia nowej u nas gałęzi artystycznego zabawkarstwa drzewnego, pomysł konkursu, urządzonego przez Towarzystwo Sztuki Podhalańskiej uważamy za bardzo szczęśliwy, a wynik jego za dostateczny do obudzenia nadziei, że przecież kiedyś zdołamy i na tem polu iść drogę własną, nie zrzekając się dobrowolnie przemawiania do duszy dzieci polskich zabawką polską.

Z. D.

WIECZORY TEATRALNE
i MUZYCZNE.

„Lilla Weneda” w Wilnie. — „Pani X.” na scenie Teatru Letniego. — „Zbrodnia i kara” w Teatrze Małym. — „Księżę Sylwanii” w Teatrze Nowym.

Świętem sztuki polskiej, a w szczególności świętem teatru polskiego w Wilnie, było wystawienie „Lilli Wenedy”. Głębokie wrażenie, jakie wieczór dn. 12 czerwca wywarł na widzach, zawdzięcza Wilno pietyzmowi p. Nuny Młodziejowskiej i pracy artystycznej Ferdynanda Ruszczyca, którego pomysły dekoracyjne przyczyniły się w ogromnym stopniu do podniesienia nastroju i wytworzenia pomiędzy sceną a widownią prądu szczerzej poezyi.

Prasa wileńska podkreśliła zgodnie zapał, z jakim publiczność witała nieśmiertelne dzieło Słowackiego w tej pięknie stylizowanej oprawie, jaką mu nadał Ruszczyca, a jakiej nie miało ono dotychczas na żadnej scenie polskiej. Pomysłowość artysty okazała się nie tylko bogatą, ale i śmiałą. Dość powiedzieć, że w obrazie, przedstawiającym pobożowisko, Ruszczyca dał zdumionemu oku widzów wypukłe sklepienie niebieskie, z błyszczącymi na niem siedmioma gwiazdami Wielkiej Niedźwiedzicy. Wywołało to efekt niezwykły, a teatr grzmiał od oklasków ku czci artysty, który pierwszy po Wyspiańskim wszedł na scenę z myślą twórczą, zdolną do łamania wszelkich przeszkód na rzecz piękna, wysnutego z własnych wizji.

Całe przedstawienie miało też dzięki temu linię artystyczną niezwykle czystą, wolną od jakichkolwiek zbroceń i załamania. Obrazy takie, jak sala Lecha, las Druidów, ustawiony w dwa półkola, grób Julii Alpinuli, z roztaczającym się poza nim krajobrazem alpejskim (w prologu), grób wróżki wenedyjskiej i cela pustelnicza św. Gwalberta (czaszka ludzka), były stylizowane świetnie i stały na wysokim poziomie współczesnej sztuki dekoracyjnej, zapoczątkowanej przez Gordona Craig'a.

Wystawiona w ten sposób „Lilla Weneda” była więc nietylko aktem hołdu dla geniuszu Słowackiego, ale jednocześnie wydarzeniem znamieniem w życiu kulturalnym Wilna i momentem wogóle dla kultury teatralnej polskiej duże posiadającym znaczenie.

Odczuła to dobrze trupa p. Młodziejowskiej, która, o ile to było w jej mocy, starała się sprostać swoim zadaniom i dostroić do wysokiego poziomu artystycznego, na jakim Ruszczyca postawił stronę zewnętrzną przedstawienia.

Całość, uzupełniona podkładem muzycznym L. M. Rogowskiego, wypadła harmonijnie, zapisując w rocznikach wskrzeszonego teatru polskiego w Wilnie dzień piękny, pełen rzetelnej zasług



„ZBRODNIA I KARA” W TEATRZE MAŁYM.

TEATR POLSKI W WILNIE. „LILLA WENEDA”.



LILLA WENEDA (akt IV)—p. Nuna Młodziejowska.



ROZA WENEDA—p. A. Podgórska.



DERWID—p. I. Borawski.

Fot. Strauss w Wilnie.

POLELUM—p. W. Nowakowski.
LELUM — p. L. Dubiszański.

i szlachetnego wysiłku w kierunku sprostania poważnym zadaniom sztuki.

Bez porównania mniejszą o te zadania dbałość wykazuje w ostatnich czasach Warszawa. Najświeższą nowością, z jaką wystąpił *Teatr Letni*, był dramat głośnego farsisty francuskiego, Aleksandra Bissona: *Pani X*. Poprzedziła go wieść o łzach, obficie wylewanych z powodu tej sztuki przez publiczność paryską w teatrze Porte-Saint-Martin. Wieść ta znalazła potwierdzenie i w Warszawie. Typowy melodramat, obliczony na miękkie, a do szlachetnych wzruszeń zdolne serca burżuazyj, bez względu na swoją małą wartość artystyczną, na szablonową robotę i stek nieprawdopodobieństw psychologicznych, zdobył sobie powodzenie. Galerye łkały głośno, a w łóżach i krzesłach ocierano łzy ukradkiem. Przyczyniła się do tego nie mało wyborna gra p. Marcello-Palińskiej. W roli bohaterki znalazła ona bowiem szerokie pole do wyzyskania bogatych zasobów swego talentu. Inna rzecz, że tego talentu może być szkoda dla sztuki, która mówi jedynie o sprycie autora, znajdującego dobrze współczesną publiczność teatralną, żadną takich właśnie efektów i wzruszeń, jakie jej podaje *Pani X*, naprzód żona i matka, potem kobieta upadła, wreszcie zbrodniarka z po-

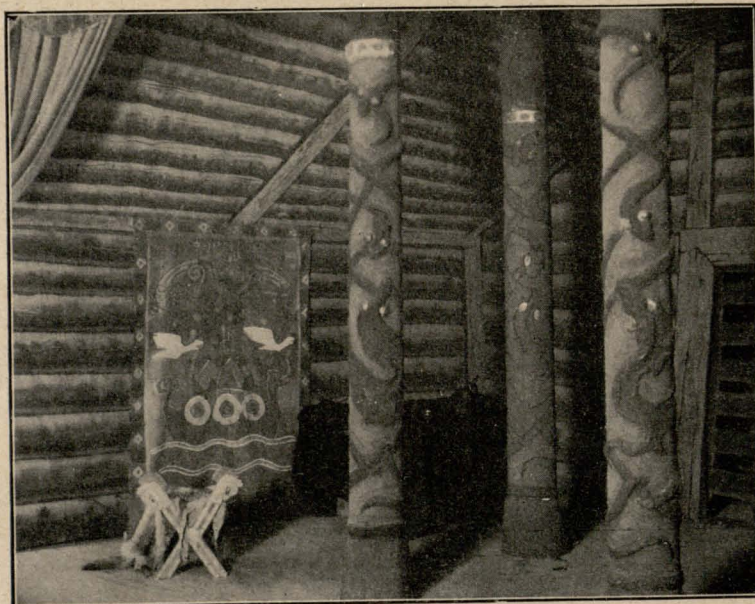
święcenia, postawiona przed sądem przysięgłych, gdzie obronę za nią wnosi własny syn, nie wiedząc, że broni matki. Obrona, naturalnie, jest tak

i chybionego obrazu dramatycznego p. Idy Pileckiej p. t. *Jutro*, wystąpił w sobotę ubiegłą z dziełem ciężkiego kalibru, wystawiając *Zbrodnię i Karę* Dostojewskiego, w przeróbce scenicznej p. J. A. Delier'a, podobno Francuza.

Nowość ta, posiadająca wszystkie wady przeróbek, rozbita na 10 odstępów, wlokła się do godz. 1-ej w nocy i tym, którzy znają znakomitą powieść Dostojewskiego, pozostawiła niesmak, wywołany nieudolnością przerabiacza, tych zaś, którzy powieści nie znają, nie przekonała wcale o jej wartości. Jednych i drugich natomiast znużyła śmiertelnie. Nie uratował sytuacji nawet p. Mielewski, który usiłował wprawdzie być Raskolnikowem, ale nie potrafił wejść w jego skórę, nie przez brak talentu, bo tego ma pod dostatkiem, ale przez nieznaną sobie życie i typów rosyjskich.

Szczerym śmiechem za to, jak zwykle, przyjął publiczność w Teatrze Nowym na ostatniej premierze p. Ludwik Sliwiński.

Krotochwila A. Athis'a: *Książę Sylwanii*, nie nowa pod względem pomysłu, ale zabawna i lekka, utrzyma się niewątpliwie na afiszu przez czas dłuższy, dzięki doskonałej grze p. Fertnera w roli fałszywego księcia, oraz p. Dulębianki, jako Adryanny Radinot. ZASTĘPCA.



Fragment z sali zamku Lecha. Inscenizacja F. Ruszczyca.

świetna, że wzruszonej matce pęka w epilogu serce... — Teatr Mały po niefortunnej premierze, złożonej z dwóch sztuk młodzieńczych Szalomy Asza



LECH—p. Popławski.

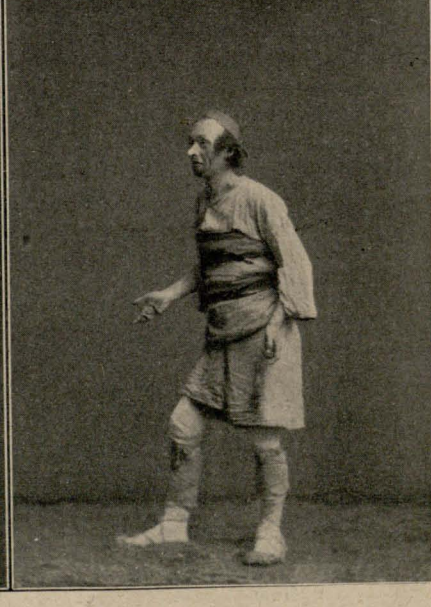


ZJAWISKO (scena ostatnia aktu V)—p. H. Okornicka.

Fot. Strauss w Wilnie.



GWINONA—p. H. Szymańska.



ŚLAZ—p. Strycharski.



Jedna z najpiękniejszych w Chile alei palmowych w prywatnej willi rodziny Vergara (St. Jago).



Wspaniały wodospad rz. Colorado w prowincji Aconcagua.

W STOLICY PERUWII.

Z CYKLU „WĘDROWIEC POLSKI”.
I.

Na pokładzie angielskiego parowca „Oropesa” szybko zbliżamy się do peruwiańskiego portu Callao. Ocean wyjątkowo cichy i szafirowy, a widok na miasto podczas jasnego zimowego poranka olśniewa, zadziwia i poniekąd zwodzi podróżnego, bo wydaje się ono pięknem, bogactwem i ciągnącym się od brzegu oceanu aż hen, daleko, ku góróm. Wysokie pomniki, gmachy i kopuły powiększają złudzenie co do starożytności i bogactwa grodu.

Wszystko to jednak nie jest Callao, lecz położona za nim Lima, która ze swemi licznymi wieżycami kościołów i ciemną zielenią ogrodów tworzy niejako tło krajobrazu.

Razem z kilkoma towarzyszami podróży wchodzi do pierwszej z brzegu łodzi i po chwili dobijamy do brzegu. Zbliżka Callao przedstawia się zupełnie inaczej, bo nawet bez odpowiednich danych co do jego przeszłego i teraźniejszego przemysłu, rozwoju i handlu łatwo zrozumieć, że znaczenie tego ongi kwitnącego portu niezwykle zmalało. Handlowe dzielnice bez ruchu, kolonialne i bławatne sklepy bez towaru i kupujących. Nigdzie nie widać budującego się domu lub jakiegokolwiek dowodu ludzkiej zamożności i pracy. Upadek Callao, wywierając przygnębiające wrażenie, dowodzi jednocześnie, do jakiego stanu dojść może ze wszech miar bogaty kraj pod rządem, pozabawionym moralności i rozsądku.

Obfitość naturalnych i łatwych do eksploatacji bogactw była prawdziwym nieszczęściem dla mieszkańców Peruwii, którzy przez całe pół wieku żyli wyłącznie kosztem „guana”, tego olbrzymiego skarbu, rodzącego ambicję i przyczyniającego się do lenistwa burzliwej i nierządnej rasy. Z chwilą, kiedy ilość guana poczęła się zmniejszać, pojawiła się saletra, bardziej jeszcze podniecając rozrzutność i nieład. Dziś, kiedy wszystko to znikło,

naród peruwiański wydaje się przygnębiony niepowodzeniem; brakuje mu odpowiedniej energii i siły, aby w pracy szukać odrodzenia, w handlu—zamożności.

Klimat gorący i duszny przyczynia się również do pewnego rodzaju sennego usposobienia i ogólnej apatii. Z czasem jednak, kiedy młode pokolenia ockną się ze snu, znajdując w kopalniach i na plantacjach obszerne pole do pracy i źródło dobrobytu, wówczas Peruwia zostanie własną sterniczką swych losów.

W gronie kilku przyjaciół Anglików przybywam na mały, ale ładny i czysty dworzec kolejowy, a następnie wsiadam do pociągu, dążącego do Limy. Wagony kolei żelaznej, łączącej Callao z Limą, są północno-amerykańskiej konstrukcji, obszerne przeto i wygodne, służba kolejowa grzeczna, ubrana porządnie, a nawet z pewną elegancją. Pociąg pędzi po zielonym, wilgotnym polu, na którym razi mnie zupełny brak drzew i niezwykle prymitywny sposób uprawy roli. Po chwili spostrzegam duży, cienisty i usiany białymi pomnikami cmentarz, za nim wąską, węzowatą rzekę Rimae, o głębokim korycie i kamienistym dnie, a w końcu dwa szeregi niskich, parterowych do-



Chilijski lew (puma), zabity w północnej prowincji.

mów i—stację. Długi sznur wracających z kościoła kobiet, tłum ulicznych handlarzy, głośno zachwalających swój towar, i wesołe śmiechy swobodnie bawiących się na ulicy dzieci zwiastują nam przybycie do stolicy Peruwii.

Ze względu na znaczną ilość gmachów, pozostałych z czasów panowania hiszpańskiego, a budowanych w mieszanym arabsko-hiszpańskim stylu, Lima jest jednym z najoryginalniejszych miast południowej Ameryki. Ciemne łuki maurytańskich arkad, głębokie framugi okien, ciężkie i wysunięte na ulicę balkony i liczne wieże kościołów, wszystko to składa się na pewną szlachetną powagę i starożytność, a nieliczne nowożytnie gmachy wprost rażą przykrym kontrastem. Szkoda, jeżeli z czasem Lima zatraci swoją starożytną cechę. Znikną wówczas jej sklepione galerie i tajemnicze zaułki, gdzie jeszcze przechadzać się zdaje dumna postać jakiegoś „hidalga”, w czarnym płaszczu i ze szpadą przy boku, runą wysokie krąganki świątyni, ozdobione szaremi figurami archaniołów i pobożnych biskupów, którym częste trzęsienia ziemi skruszyły skrzydła i mitry. Dziś jednak wszystko to jeszcze można w Limie podziwiać.

Ludność tego miasta, złożona z różnorodnych ras, harmonizuje poniekąd z jego architekturą. Widzimy tu Indian, noszących stroje poddanych dawnego cesarstwa Inków, Murzynów, połyskujących białymi zębami, Chińczyków, ukrywających swe warkoczki pod wysokimi kapelusznami, i wreszcie ubrany po europejsku prosty lud tutejszy, *Cholos*. Prócz owego barwnego tłumu, mieszka w Limie niewielka stosunkowo ilość peruwiańskiej arystokracji, bardzo światłej i eleganckiej.

Pierwszy głos, który budzi podróżnego w Limie, to głos, należący do handlarza biletów loteryjnych: „Pięć tysięcy soli!...” *) „Wielki los 20-tu tysięcy soli!” „Loteryja Limy!” „Losowanie dziesiąt!...” Agencji propagandy loteryjnej posiadają

*) Peruwiańska moneta = 70 kop.



OGÓLNY WIDOK LIMY.

specjalny metaliczny i przejmujący głos, który razi słuch, ściga i męczy na każdym kroku przechodnia, aż wreszcie zmusza go w końcu do kupna biletu.

Rzadko który z mieszkańców Limy oprzeć się zdoła pokusie spróbowania fortuny, utrzymującej w ciągłym naprężeniu i gorąco znaczną część miejskiej ludności. Wszyscy próżniacy, wszyscy kandydaci na łatwe posady, cały ten wielki tłum „potrzebujących” w ospałym społeczeństwie, prędzej powstrzyma się od pokarmu, niż od nabycia loteryjnego biletu, będącego jedyną nadzieją zmiany losu. Zawodzą się zawsze, przysięgają zwyciężyć pokusę i... znowu kupują nieszczęsny bilet. Widziałem w małym korzennym sklepiku cały pokój, wyklejony owymi biletami, na które nabywca wydał znaczną część swoich oszczędności, nie wygrywając ani jednego grosza, nie prze-



Typ indyanki z Peruwii.

stał jednak kupować biletów w celu chyba wylepienia nimi drugiego pokoju. Straszny to nałóg!... A żyje z niego i korzysta towarzystwo dobroczynności w Limie, przyczyniające się tym sposobem do powiększenia lenistwa w niedołęznej rasie.

Lima była zawsze miastem zabaw i hazardu: jej domy gry widziały więcej złota, aniżeli zebrała go Hiszpania podczas trzech wieków swych rządów, począwszy od Atahualpy aż do Boliwara. A jednak miejscowa ludność, wznosząc w epoce kolonii liczne kościoły i dając katolicyzmowi wielu sławnych i świętobliwych mężów, była bez wątpienia najbardziej pobożną w południowej Ameryce.

Pełna jakiegoś starożytnego mistycyzmu atmosfera wieje z klasztorów i świątyń Limy. Ruiny szczyrbatych dzwonnicy, poczerńnięte wizerunki

świętych, zakrystye, ozdobione bogatymi złoceniami, podziemia, pełne grobowców i trumien, legendy o cudach z przeszłych wieków, słowem, cały wielki świat zabytków i wspomnień przenosi podróżnego w czasy wiary i poświęceń, tak różnych od dzisiejszego życia, jak odmienna była kolonia hiszpańska od obecnej rzeczypospolitej.

Skromny, parterowy dom, mieszczący ongi inkwizycję, a dziś zajęty przez senat, nie przedstawia nic osobliwego, tylko w sali posiedzeń zwraca uwagę piękny sufit z orzechowego drzewa, ozdobiony bogatymi rzezbami, będącymi prawdziwym arcydziełem sztuki stolarskiej.

Na dawnym placu Inkwizycji, zwanym obecnie placem „Niepodległości” („Independencion”), wznosi się piękny pomnik Boliwara na koniu. Postać wodza, strojna i wyniosła, zachowuje cały właściwy mu wdzięk i siłę, a wzrok jego, zaparty w dalekie, śnieżne szczyty Kordylierów, zdaje się mierzyć całe wielkie i zdobyte przez bohatera pole amerykańskiej sławy. Pomnik „Oswobodziciela” posiada wyjątkowy urok na tem miejscu dawnych cierpień, ciemnoty i błędów.

MICHAŁ CHMYZOWSKI.

ŻNIWA.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Gwałtu! rety! toć to żniwa!... Czas w pole piosence...

Toć już kosa wtórem śpiewa, chodzi kłosem, kieby żywa, w parobczańskiej ręce.

Chodzi... śpiewa... pobrzękuje... nad miedzami błyska, że aż wietrzyk poświstuje, aż chleb nowy zalatuje od płowego rżyska!

Już i Maryś na zagonie.

Ugięła spódnicy... Choćbyś w cztery gonił konie, niema w żadnej świata stronie takiej przodownicy. Niema takiej drugiej w świecie! żniwa... czy kochanie, choć pot ciecze po gorsecie, w pół pacierza zagon zmiecie, kiedy z sierpem stanie...

A gdy weźmie cię za szyję—topniejesz na skwarki! taki gorąc od niej bije, od Marysie, od lelije! kiej z słonka w przyparkii!

Poczekajże, Maryś krocii!

Siarczysta dziewucha...

Przystań chyłkiem na zawrociu, cała w słońcu a pozłociu...

Zaspiewaj od ucha!

Zaspiewaj mi o tej kosie, chwackiej w wszystkie czasy—niech polecie głos po rosie, przez zagony, przez pokłosie, za bory! za lasy!

Gwałtu! rety! Maryś śpiewa...

Omal się nie skręć!

Dzwoni kosą chłopka niwa...

Boże-ć! Boże! w takie żniwa

Daj skrzydła... piosence!

Hej! i jak na skrzydłach rwie się myśl i dusza na te łany „malowane zbożem rozmaitem, pozłacane pszenicą, wysrebrzane żytem!...

Żniwa! żniwa!

Prawda, że wiele się od *illo tempore* zmieniło, że Maryski przodownice zastąpiły stalowe „Mack-Cormicki”, „Waller-Wod’y”, „Ceresy”, że dawny sierp utracił swe znaczenie—ale chłopka krew nie zatraciła

swego waloru, ale krajobraz żniw polskich pozostał bez zmiany, dziwnie ochoczy, rzeźki, jasny, rozśpiewany.

I niema milejszej pracy... ludu polskiego nad żniwa! Pot czołem splywa, a śpiewka dzwoni... Na swoim czy cudzem—wszystko jedno!

Jest jakaś pierwotna ochoczość w żniwnym nastroju, jakaś symboliczna zjawia duszy rolnej narodu.

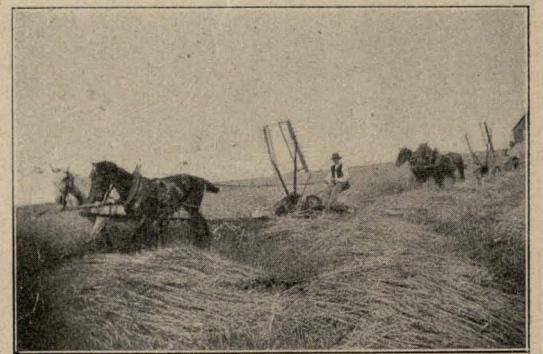
Jest i krajobraz omal piastowski.

Pobielące na skwarze,
Niby przędza na rosie
Gwarzą niwy... ku ziemi
Kłós zwieszając po kłosie.

Całe niebo w pozłociu, jak te chmurki pod niebem! od uwrocia w uwrocie płyną ziarnem i chlebem!

Zagonami szmer idzie, niby wietrzyk w siłtowiu...

Nad brózdami sierp błyska, jak miesięczek na nowiu! to zaświeci półkolem, to znow w gąszczu zapada...



Żniwiarka.

— Dana-ć moja! oj dana!—nuci żeńców gromada!

— Dana-ć moja! oj dana!—

Choć pot czoło zalewa, dzwonią kosy zagonem, garść za garścią ubywa, od uwrocia w uwrocie leżą kłosa pokotem...

Snop na snopie, jak nabił pod słońcem pod złotem!

Zaturkotały kowane wozy...

— W imię Ojca, w imię Syna—wita krzyżem stary chłop przywieziony do stodoły pierwszy z pola żytyni snop. Ukląkł zbożnie na klepisku i całuje chlebny kłós, na słomianą okiść kładzie siwą głowę, siwy włos.

— Chleba, Panie, powszedniego—w modlitewny szepce ton...

— Chleba, Panie, daj na życie! wiązkę stomy daj na zgon. Niech zarodzi Twoja Wola czystym ziarnem bujny smug... Witaj, chlebie, w chłopskim progu! Z Bogiem! z Bogiem za nasz próg!



ROBOTY W POLU.

Rys Jul. Kossak.

I znów chyli się, w ramiona obejmując kłóśny snop.

Ziemio nasza! kłósy twoje! jako twoim jest ten chłop!

Ziemio Matko! daj im społem
Pod Twym niebem szczęście rość!
Czarny chlebuś mój dla tego,
Co kość z kości twoja kość!

Czarny chlebuś mój dla tego,
Co od wieków strzeże soch,
Co się z twego zrodził prochu
I zamieni się w twój proch!

KAZ. LASKOWSKI.



CHYLICZKI. — OKÓLNIK TRZODY.

Dziewic kraina...

CHYLICZKI.

Gęstwa drzew, aleja wiekowych lip, trawniki aksamitne i barwne klomby kwiecica, a pośród ku piękny, biały dom.

Okna na rozcież otwarte, przez nie płynię fala młodych, wesołych głosów i śmiech dzwoni bez troski.

Bawią się tam, w tym pięknym, białym domu... O nie, pracują.

W czystość kuchni, przy buchającym na kominie ogniu stoją dziewczęta w gospodarskich fartuchach, w białych, fantazyjnie na głowach upiętych chusteczkach i gotują obiad dla siebie, koleżanek i nauczycielek. Wokół pod ścianami stoły kuchenne, a na nich mięso, jarzyny, kasza, mąka, a przy nich znów młode dziewczęta—siekają, wałkują, przesiewają.

Idziemy dalej korytarzem do sieni. We drzwiach od su teren znów młode postacie.

W podziemiu praca nielada. Wirówka warczy, w masielnicy śmietana chlupie, obok z foremek ser jeden za drugim na stół pada. Piekarnia zionie smaczną wonią świeżego chleba, bułek rumianych, ciastek apetycznych. W sąsiedniej izbie krwawią się stopy truskawek na konfitury, w kociołku syczy gęsty syrop i nagli o porcy owoc.

A wszędzie krzątają się żwawo dziewczęta, migają szybko białą zakasanych po łokcie rąk, rumianami od ognia i pośpiechu buziami.

Uciekamy przed tym wirami pracy z białego domu. Mały dworek obok w dzikie wino spowity. W nim może znajdziemy ciszę i odpoczynek. Gdzie zaś, z deszczu pod rynną!

Na prawo szmer przesuwanych czółenek, stuk pedałów przy krosnach.

Wchodzimy. Znów dziewczęta i znów praca. Snują się barwne nitki, mienią krasne kilimki, lśni biel płótna. Tkalnia. Młode twarze pełne skupienia, oczy utkwione w czółenko. Do myśli napływa znana zwrotka:

Biała Elektra płótno тка...—

Nagle z drugiej strony sieni otwierają się drzwi i bucha przez nie obłok pary, a za nim w ślad gwar głosów.

Znowu.

A no zajrzeć trzeba. Stosy mokrej bielizny, czerwone od tarcia dłonie, zapryskane suknie. Trącana wspomnieniem Grecji myśl widzi Nauzykę ze służebnicami, szuka wśród nich Ulissa. Napróżno! Tu dziewic kraina.

Że zaś wśród istot ludzkich młoda dziewczyna ma w sobie najwięcej pierwiastku poetycznego, a jeszcze taka ze wsi, owionęta ciszą pól i szumem lasów, ma go więcej, niż każda inna, więc tu, w jej królestwie, ciągle nam się jawią jakieś reminiscencye poetyczne. Ledwie opuściliśmy Elektry i Nauzykę, a już oto:

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stoi, trzymając w ręku podniesione sito.
Do nóg jej biegnie ptactwo...



CHYLICZKI. — PARK REKREACYJNY.

Langshany, Orpingtony i inne wyborowe gatunki, starannie wyhodowane przez młode gospoście, gdczą, kwokają, pieją.



CHYLICZKI. — ODDZIAŁ DROBIU.

Giniemy w cieniście ogrodzie.
Chwila ciszy.

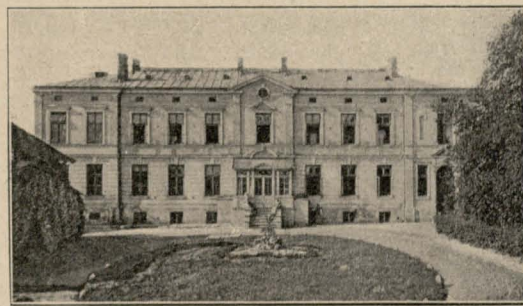
Wtem wśród zieleni warzywnika miga rój białych motyli. Przystadły, zrywają się i lecą na dalszą grzędę. Nie motyle to, tylko białe chusteczki Chyliczanek. Są tu, są i przy ulach i koło inspekt.

Gdzie ich niema?

Są na placyku przed ochroną, wśród dzieciarni piaseczyńskiej, są w czworakach, by pilnować porządku, dojrzeć chorych, służyć radą i pomocą. Są w sali wykładowej na lekcji higieny czy anatomii. Są przy apteczce z lekarstwami i opatrunkami.

Sprzątają sypialnię, nakrywają w jadalni, robią porządki na strychu, czyszczą lampy i noże w kredensie.

Zawsze czynne, zawsze wesołe, uczą się pracy dla swoich najbliższych, dla domowników, dla wsi i dla całego kraju. A po roku, po dwóch idą w świat z poczuciem ładu, z umiłowaniem



DOM GOSPODARSKI W CHYLICZKACH.

pracy, ze świadomością obowiązków społecznych, z pragnieniem czynu.

„A leć, o wiosno, a leć, a śpiesz,
Jutrzenką wiej,
Na sennie czoło tych ludzkich rzesz,
Na mroki ziemi tej”.

BRONISŁAWA WŁODKÓWNA.

ZŁOTE LISTKI.

Równo prawdą jak fałszem można przejść świat cały, ale prawdą można i wrócić, a fałszem nie.

ALOIZY ŻÓŁKOWSKI.

Z powodu choroby Wł. St. Reymonta nie otrzymaliśmy dalszego ciągu wrażeń i notatek „Z ziemi Chełmskiej” i dlatego z żalem zmuszeni jesteśmy chwilowo przerwać w numerze bieżącym druk tej wysoce zajmującej pracy.



CHYLICZKI. — ZARZĄD I UCZENNICE.



TURECKIE POSELSTWO W WATYKANIE.

Do Rzymu przybyło nadzwyczajne poselstwo tureckie, dla zawiadomienia Piusa X o wstąpieniu na tron sułtana Mahometa I. Poselstwo składa się z Galifa Paszy, wielkiego mistrza ceremonii na dworze tureckim, i Emina beja. W d. 5 b. m. przyjmował też Papież, na uroczystej audyencji, w sali Tronowej wysłanników Padyszacha. W fakcie tym nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że misje urzędowe tureckie do Watykanu są wielką rzadkością. W istocie, sięgnąć trzeba do r. 1847, aby przypomnieć ostatnie poselstwo, które przybyło do młodego Piusa IX, aby go zawiadomić o wstąpieniu na tron tureckiego władcy. Od tego czasu Papież mieli stosunki z Wysoką Portą jedynie przez patriarchów greckich zjednoczonego obrządku, a nawet Leon XIII, który rozwinął szeroką akcję dyplomatyczną, nie ujrzał mahometańskiego poselstwa w murach pałacu papieskiego. Dzisiaj, odmładzająca się, konstytucyjna Turcja zbliża się do Głowy Kościoła katolickiego, w dobrze zrozumianym własnym interesie, w imię cywilizacji i postępu. Nie jest więc dziś niemożliwym, że w Konstantynopolu ustanowiona będzie nuncjatura, czy też delegacja apostolska. Nasza fotografia przedstawia obu postów tureckich w łożach watykańskich pierwszego piętra, przed mieszkaniem kardynała Merry del Val. Za nimi stoi honorowa straż szwajcarska.

Konkurs.

Towarzystwo „Polska sztuka stosowana“ ogłasza konkurs na urządzenie i dekorację kaplicy Sobieskiego przy kościele na Kahlenbergu pod Wiedniem. Artyści mają zupełną swobodę kompozycji, z tem tylko zastrzeżeniem, że w dekoracji mają być umieszczone herby Polski, Galicji, miast Krakowa, Lwowa, Wilna i Poznania, oraz 50 herbów rycerstwa polskiego.

Nagrody wynoszą: I-sza 600 kor., II-ga 400 kor.

Nagrodzone prace stają się własnością Rektora kościoła na Kahlenbergu, który zastrzega sobie prawo pierwszeństwa przy zakupie innych prac. Oprócz nagrodzonych mogą być niektóre prace wyróżnione zaszczytnymi wzmiankami.

Sąd konkursowy wraz z Wydziałem Towarzystwa będzie dążył, aby praca, odznaczona pierwszą nagrodą, została przyjęta do wykonania.

Sąd konkursowy stanowią pp.: Józef Czajkowski, Władysław Ekielski, Stefan Filipkiewicz, Sta. Jślaw Kamocki, Wacław Krzyżanowski, Julian Makarewicz, Franciszek Mączyński, Jan Szczepkowski, Jerzy Warchałowski, Wojciech Weiss i Ludwik Wójtyczko, oraz: reprezentant Centralnej komisji sztuki w Wiedniu prof. Deininger i ksiądz rektor Kukliński.

Towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana“ zastrzega sobie prawo reprodukcji prac nagrodzonych w swoim wydawnictwie lub w „Architekcie“.



Ks. Borodzicz, b. proboszcz w Miorach, obecnie na wygnaniu w Lubimie gub. Jarosławskiej, i ks. kanonik Sperski — skazani 22 maja b. r. w Grodnie przez Izbę Sądową na rok forticy.

Rzeczy polskie we Francji.

W miesięczniku *Le Correspondant* znajdujemy studium znanych już czytelnikom naszym przyjaciół Polski, braci Marius i Ary Leblond, p. t.: „Les trois Polognes“. Jest to rozdział z większej pracy, którą zamierzają ogłosić drukiem p. t. „La Pologne sera“.

W artykule tym autorowie zwracają uwagę na jedność dążeń ku utrzymaniu bytu narodowego we wszystkich trzech dzielnicach dawnej Polski, na ciężkie warunki, w jakich znajdują się Polacy z Rosji i Prus, przyczem zwracają uwagę na solidarność tych państw w ich polityce polskiej. Na zakończenie mówią o roli katolicyzmu i duchowieństwa w Polsce, podkreślając ich znaczenie narodowe.



GENERAL MARGR. GASTON DE GALLIFFET.

W podeszłym wieku lat 79-ciu zmarł w Paryżu wybitny wojskowy francuski, świetny, mężny, śmiały, bohaterski rębacz kawalerski, odwagi niezwykłej, obdarzony żywą i bystrą inteligencją. Za czasów drugiego Cesarstwa odznaczył się w wyprawie do Algieru, podczas wojny francusko-pruskiej dowodził słynną w dziejach wojskowych jakby z jakiegoś eposu zaczerpniętą szarżą kawalerską pod Sedanem. Z powodu wieku podał się do dymisji w r. 1895, ale w cztery lata później Waldeck-Rousseau zaprzagnął użytkować wybitną inteligencję starego generała i ofiarował mu portfel wojny. Aristokrata i katolik wytrwał w radykalnym gabinecie, jako minister, rok niecały, poczem ustąpił z hałasem i pięknym gestem, pozostawiając po sobie pamięć doskonałego administratora. Dokonał życia w zaciszu domowym. Schodził do grobu przedstawiciel innej epoki, świetniejszej, romantycznej epoki wojen i miłości, której gener. także w dawnych latach żywo hołdował.

Kongres narodowy polski.

W maju roku przyszłego, w dzień następny po odsłonięciu pomnika Kościuszki w Waszyngtonie, odbędzie się tam kongres narodowy polski, w którego skład wchodzić mają organizacje polskie, litewskie i rusińskie w Stanach Zjednoczonych, zarówno obywatelskie, jak i zawodowe, stowarzyszenia polskie z Europy, oraz osobistości znane ze swej działalności na polu społecznym, naukowem, literackim w Polsce i w Ameryce. Kongres ma trwać dni cztery. Na jednym z posiedzeń mają być wygłoszone trzy referaty w sprawach polskich w języku angielskim. Komitet przygotowawczy zawiązany został z inicjatywy największej organizacji polskiej w Ameryce — Związku Narodowego, i podzielony jest na pięć sekcji, odpowiadających różnym gałęziom pracy przygotowawczej. Prezsem jego jest p. A. Schreiber z Buffalo, cenzor Związku.

Półwiekowe jubileusze.

W przyszłym roku szkolnym znana i zaśluzona średnia szkoła rolnicza w Czernihowie, w Galicji, obchodzi pięćdziesięciolecie swego istnienia. Towarzystwo koleżeńskie uczniów tej szkoły przypomina o jubileuszu i organizuje zjazd b. uczniów tej szkoły, na którym ma być przedewszystkiem omawiane założenie towarzystwa samopomocy. Zjazd odbędzie się d. 2 czerwca r. p.

Towarzystwo Bratniej Pomocy słuchaczy politechniki we Lwowie obchodzi półwiekowy jubileusz swego istnienia. Komitet organizacyjny zwraca się do wszystkich b. członków z prośbą o podanie adresów w celu wysłania im kwestyonaryusza. Nadesłane odpowiedzi posłużą za materiały do wydawnictwa książki pamiątkowej jubileusza.

Pokłosie wydawnicze.

Zofia Hartingh. Przewodnik po ziemi kaszubskiej, Książki dla wszystkich Nr. 461, Warszawa, wydawnictwo Michała Arcta.

Jechać, czy nie jechać na Kaszuby — oto pytanie, od dwóch lat podnoszone na łamach prasy polskiej, które wzięła sobie za punkt wyjścia autorka niniejszej książeczki. I dochodzi do wniosku, że, jeżeli mamy tam jechać, to powinniśmy wyciągnąć jak największy pożytek narodowy, powinniśmy Kaszubów, tę gałąź narodowości naszej, odciąć od pnia rodzimego, podtrzymać i budzić w nich ducha wspólności życia narodowego, a zarazem i samym umacniać się na duchu, uczyć się „karty dziejów naszych, obejmującej kilka wieków sławy, poprzedzającej upadek nasz polityczny. Tą więc myślą powodowana, pisze swe dziełko, ilustrowane kilkunastu widokami, które nie jest niczem innym, jak skrótem historii, geografii i etnografii naszego Pomorza, z dodatkiem informacji turystycznych.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II, tom XXVII. Kraków, 1909.

Tom ten zawiera studium Wacława Sobieskiego „Zabiegi Dymitra Samozwańca o koronę polską“, w którym autor w sposób jasny i zajmujący stwierdza, że Dymitr, zasiadając na tronie moskiewskim jednocześnie zamierzał zdobyć dla siebie koronę polską. Przedstawia więc związki Samozwańca z różnowiercami polskimi, z rodziną Mniszców i rokoszaninem Zebrzydowskim, zwraca przytem uwagę na to, iż po wygaśnięciu dynastji Rurkowiczów, kiedy Moskwa wpadła w bezład i anarchię, łatwiej niż kiedyindziej wciągnąć ją można było do unii z Polską. Wielką tę inicjatywę polityczną zwichnęła rokoszowa szlachta, nie dopuszczając rozplitę do odegrania wybitnej roli w Słowiańszczyźnie. Następna rozprawa dr. a. W. Rubczyńskiego omawia „filozoficzne poglądy Sebastjana Petrycego z Pilzna w jego „Przestro-gach“ i „Przydatkach“, a w szczególności w dołączonych do pierwszych pięciu ksiąg przekładu Etyki Nikomachejskiej Arystotelesa“. Jest to część pierwsza sumiennych studiów autora nad dziejami arystotelizmu i jego recepcji w Polsce. Praca St. Zachorowskiego przedstawia „Węgierskie i polskie osadnictwo Spiżu do połowy XIV w.“ Kończy tom studjum prof. Winc. Zakrzewskiego o Stanisławie Górskim, twórcy zbioru dokumentów z czasów Zygmunta I, znanych p. t. Acta Tomiciana, i najzasłużeńszym po Długoszu historyografii naszym XVI wieku.

ZMARLI.

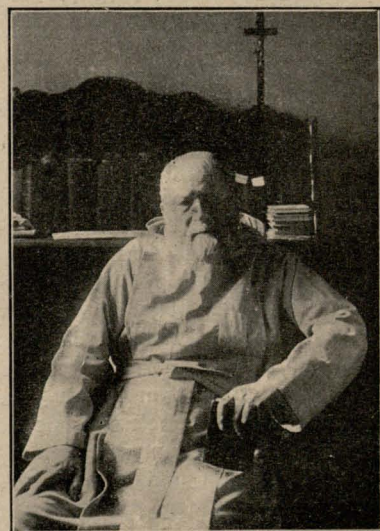
FELIKS HR. CZACKI, wnuk znakomitego pedagoga, twórcy liceum krzemienieckiego, Tadeusza Czackiego, zmarł w Warszawie, w wieku lat 67. Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie, oraz wydziału przyrodniczego na uniwersytecie kijowskim, poświęcił się zawodowi rolniczemu, przyczem okazał wielkie zdolności, zwłaszcza organizatorskie. Spożytkował je najpierw w swoim majątku w Koniuchach, następnie, jako naczelny administrator olbrzymich dóbr białocerkiewskich,

a następnie w dobrach wilanowskich. Kiedy osiadł na stałe w Warszawie, poświęcił się działalności głównie na polu ekonomicznym. Był tedy wiceprezsem rady zarządzającej kolei warszawskowiedeńskiej, prezesem komitetu nadzorczego Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, jednym



z założycieli i bardzo czynnym prezesem Towarzystwa oczyszczania i wywozu okowity (rektyfikacji), członkiem rady zarządzającej sosnowieckiego Towarzystwa kopalni węgla. Prócz tego brał czasowo udział w komitecie Towarzystwa Muzycznego i Towarzystwa Zachęty, a także do końca życia był kuratorem zakładów św. Kazimierza na Tamce. Zmarły był osobistością w Warszawie szeroko znaną i bardzo popularną.

OSTATNI KAMEDUŁA. Zmarł w Warszawie ostatni kameduła z Bielna, Ojciec F. Nawelski, starszek, dawny wygnaniec, znękany chorobą i wiekiem. Urodzony w r. 1836-ym, wstąpił do zakonu w r. 1862, od 1872-1876-go roku był przeorem klasztoru, w r. 1885 zaś został skazany na



wygnanie do bardziej oddalonych gubernii Cesarstwa, gdzie przebył lat dwadziścia. Po powrocie do Warszawy zamieszkiwał stale w przytułku św. Stanisława Kostki, gdzie też życia dokonał, szanowany i żalowany powszechnie z powodu niepospolicznych zalet charakteru.

W. Golińska

PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI, BRONZY, PORCELANA, PERFUMY.

„ŚMIECH“ Tygodnik humor. ilustr. HOZA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

MEBLE STYLOWE M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

WARSZAWIANKA



F. JANKOWSKIEGO.

BIELIŻNA MĘSKA I DAMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.



Jak daleko wzrokiem sięgnąć można, widać tylko łódzie, łódzie i łódzie.

Łódzie kwiatowe w Kantonie.

Sprawa przeludnienia miast uważana jest obecnie przez ekonomistów europejskich za zagadnienie pierwszorzędne, domagające się rozwiązania jak najspieszniejszego. W porównaniu jednak domiast azjatyckich, a zwłaszcza chińskich, miasta europejskie można uważać niemal za puste. Tylko ten, kto dotarł do przedmieść miasta chińskiego, ma pojęcie o tem, w jakim ścisunku mogą żyć istoty ludzkie.

W wielkich miastach chińskich ludność przelewa się dosłownie przez ich granice, skutkiem czego tworzą się, jak naprzykład w Kantonie, owe niezwykle zaułki pływające, rozpościerające się wzdłuż wybrzeży i stanowiące najbardziej malowniczy, ale zarazem najbardziej cuchnący dodatek miasta.

Proszę stanąć przy cesarskiej komorze celnej w Kantonie i rzucić okiem na rzekę w stronę Hong-Kongu. Jak daleko wzrokiem sięgnąć można, widać tylko łódzie i łódzie. I nie są to łódzie zwyczajne, dla przewożenia ludzi lub towarów, ale niezliczone domy, gdzie miliony istot ludzkich rodzi się, żyje i umiera; mieszkania najczęściej ludzi biednych, wegetujących tam bez opłacania komornego, podatków i innych ciężarów, spadających na barki zwykłego obywatela miejskiego.

Większość tych domów pływających stanowią łódzie niewielkie, liczące 15 do 20 stóp długości, a kosztujące od 20 do 30 dolarów. Strzecha z liści palmowych, albo pokrycie z mat nad częścią takiej łodzi służy dla ochrony mieszkańców jej przed słońcem i deszczem. Tu znajduje się też jadalnia i sypialnia, urządzone tak skromnie, że wobec nich chata najędźniejszego wieśniaka europejskiego wydawałaby się pałacem magnata. Na wielu z nich hodowane są też kury i trzoda chlewna, a gdy skromne wymiary łodzi nie pozwalają na utrzymanie w niej dochowku, to zawieszona z boku skrzynia służy za chlew lub kurnik. Chlewki jednak i kurniki nie wyczerpują jeszcze urządzenia domów pływających, na większości z nich bowiem znaczna przestrzeń z obu końców łodzi odgraniczona jest na hodowlę kwiatów doniczkowych.

Trudno wprost pojąć, jak istoty ludzkie mogą wytrzymać w tych mieszkaniach ciasnych, ograniczonych, przepierzanym. A jednak, jak obliczają, w samym Kantonie znajduje się 85,000 takich domostw pływających, w których od 250,000 do 400,000 ludzi rodzi się, mieszka i umiera, wielu zaś z nich w ciągu życia dziwnego nigdy nie postawiło nogi na suchym lądzie.

Nie wszystkie wszelako łódzie w tej masie zbitej, tamującej przystęp do brzegu rzeki, cuchną brudem i nędzą. Znajdują się też wśród nich wielkie, wykwintne i lśniące, znane każdemu, kto zwiedzał Kanton.

— Czy był już pan na łodziach kwiatowych?— oto pytanie, rozlegające się wciąż w hotelach kan-

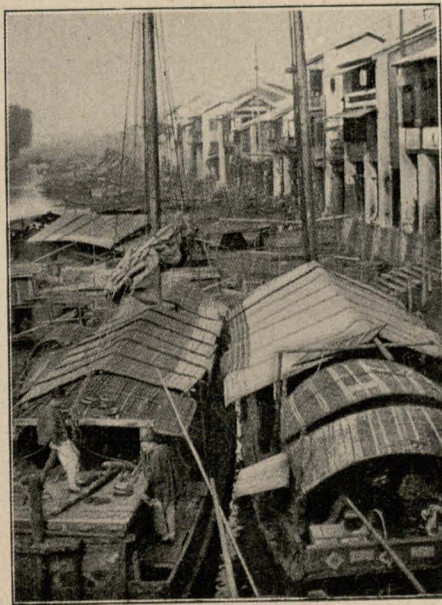
tońskich. A jeżeli kto odpowie na nie przecząco, to napewno jest przybyszem świeżym.

Owe „łódzie kwiatowe” to poprostu domy gry, rozpusty i tingle kantońskie. Całe ich ulice ciągną się szeregami od brzegu ku środkowi rzeki i co wieczór tłoczy się na nich ciżba, spragniona wrażeń i zabawy niewybrednej, a przedewszystkiem spróbowania szczęścia w grach hazardowych, tej wadzie narodowej Chińczyków.

Karty, fan-tan, domino, kości, ruleta—oto gry spotykane tutaj.

Namiętność do gier hazardowych panuje w Chinach niepodzielnie, to też olśniewające wnętrza tych jaskiń przepętniają co noc szulerzy, widzowie, gracze, awanturnicy i zbrodniarze.

Łódź kwiatowa kosztuje od 500 do 1,000 dolarów i należy zwykle do przedsiębiorcy, prowadzącego na niej interes wątpliwej wartości moralnej. Urządzenie jej wewnętrzne jest nieraz bar-



Na łodziach tych miliony rodzą się, żyją, umierają.

dzo kosztowne. Ściany rzeźbione i wykładane perłową masą, okryte obrazami i haftami. W zwierciadłach wspaniałych odbija się światło dziesiątków lamp, a mnóstwo kwiatów naturalnych i sztucznych olśniewa oko przepychem barw jaskrawych. Obwieszane wieczorem tysiącami lampionów i latarni papierowych, łódzie te sprawiają wrażenie czarującego na widzu, lecz pobyt na nich bez przewodnika i osób dobrze obeznanych z otoczeniem bywa niebezpieczny.

W dzień urok niknie. Zastąpione oponami nocy bieda z nędzą znów ujawniają się w całej nagości, i turysta widzi tylko olbrzymie mrowisko ludzkie, kołyszące się na brudno-żółtych wodach ogromnej rzeki, nazwanej chyba przez ironię Perłową *).

S. B.



*) Przed paru tygodniami olbrzymi pożar zniszczył kilkanaście tysięcy tych łodzi, przyczem zginęło przeszło 200, odniosło zaś rany 1,400 ludzi. Bez wątpienia wszelako ubytek ten wyrówna się wkrótce, a łódzie kwiatowe po dawnemu ścigać będą tłumy turystów i graczy.



Łódzie kwiatowe w Kantonie.

STANISŁAWA SZADURSKA:

SZCZĘŚCIE.

Nie idź napróżno do drzwi szczęścia pukać,
Słońce zabłyśnie, gdy zapragniesz cieni.

Zwąpili w skarby ci, co szli ich szukać,
I na kilofac'i usnęli, znużeni.

W piersi im pragnień jeszcze biegły drżenia
I duch w bezsilnej zrywał się tęsknocie,
Aż ujął skrzydłem Anioł Zapomnienia
Serca ich, śniące wciąż o jasnym złocie.

I raz w dzień chmurny światła padły snopy,
Grom głębin zatrząsł ziemi chłodną bryłą,
Rozpękły skały, i pod senne stopy
Wytrysto złoto lśniąca z szczelin żyła.

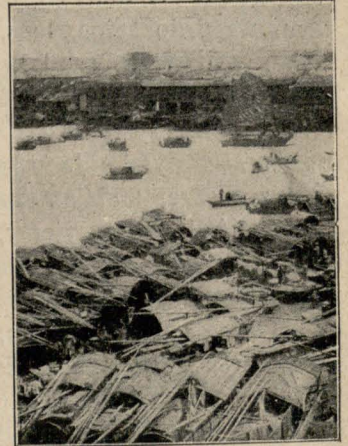
Lecz oni, ze snu zbudzeni, twarz w dłońie
Skryli i smutek pierś napełnił niemy.

— Omdlały ręce wam?—I cóż, że płonie
Beczenny skarbiec, gdy już nie pragniemy!

— Był dzień, że darów życia szliśmy szukać,
Za dar dać życie mogli—uniesieni—

Nie idź napróżno do drzwi szczęścia pukać,
Słońce zabłyśnie, gdy zapragniesz cieni.

☞



Zaułki kantońskie.

XIX.

Stało się według przykazań Piotrowych. Ksiądz Antoni wyniósł się do altaryi, odstępając przyjezdnym damom cały swój dom do użytku. Powracał tu jednak na czas od południa do późnego wieczora. Uczynił tę ofiarę ze swych wygód i przyzwyczajęń z taką prostotą i radością, że po paru dniach uspokoił zupełnie wyrzuty sumienia Krystyny, która w swym nagłym projekcie nie przewidziała wcale, jaki przewrót sprowadzi w domu i w życiu swego dawnego nauczyciela. Przez parę dni trwały troskliwe zabiegi księdza o ulepszenia i ozdoby mieszkania, o których dla siebie nigdy nie pomyślał. Pogoda zadeszczyła się, więc ksiądz Antoni przynosił z miasteczka ukryte pod płaszczem, osłonięte parasolem różne paczki i rozwijał z nich w domku przedmioty nowego komfortu: kilimek na ścianę przy łóżku Krystyny, sztuczkę rzadkiego muślinu, przeznaczonego na wprawienie w ramy okien dla ochrony od much i komarów.—Bibliotekę przeczarowano na pokój damski za pomocą kunsztownego przesunięcia półek i szafy, która teraz odgradzała część bawialną pokoju od alkowy sypialnej. Co rano zjawiały się: to donice z kwiatami, to nowe lustro. W izbach służbowej i kuchennej gospodarował po dawnemu Piotr Lejtan, ale zjawiała się i niebywała dotąd w pustelni dziewczyna do usług.

Krystynę, przyzwyczajoną do pałacowych wygód, otulała tu jakaś niedoznana od czasów dzieciństwa, ciepła, miłosa niemal pieczołowitość, która gorące jej serce aż ścisnęła od wdzięczności. Kiedy będzie mogła, przeintriguje księdza Antoniego na biskupa... Nie przyjąłby. Więc wynajdzie jakieś nadzwyczaj cenne i rzadkie dla niego książki...

— Jeżeli ksiądz profesor jeszcze raz co przyniesie dla nas z miasteczka, nazajutrz wyjedziemy do Wilna. Tak już z Karoliną postanowiliśmy.

— Już nic—odpowiedział ksiądz z zafasowanym uśmiechem—już lepiej być nie może u nas w Ponikszcie.

— Nigdzie na świecie nie było mi lepiej! — zawołała Krystyna ze łzą nagłą w oczach.

Ksiądz Antoni łzę pochwyił spojrzeniem, wziął do serca, lecz, gładząc poważnie suchy, błękitniejący od brzytwy podbródek, udał obojętność i wyrachowanie.

— Przyszyłyście też panie tasiemki do muślinu?—zapytał.—Ja przecie także korzystam z waszej umiejętności.

— A jakże! szyjemy, będzie do wieczora gotowe—odpowiedziała panna Zubowska, ślęcząca w okularach nad robotą.

Okazało się bowiem, że Piotr, chcąc przybijać rzadki muślin ćwieczkami bezpośrednio do ramy okiennej, nie mógł się z tem uporać. Panna Karolina wnet uznała potrzebę obrabiania prostokątów muślinu tasiemką, którą dopiero przytwierdzi się do okien

ćwieczkami. Więc obrabiała sumiennie wymierzony muślin. Krystyna i ks. Antoni układali tymczasem na półce książki, które się rozsypały podczas niedawnej rewolucji pokoju. Deszcz padał na dworze.

Krystyna już była opowiedziała pobieżnie ostatnie tygodnie swego życia, zniechęcenie ostateczne do Rarogów i Chmarów. Upřednie jej dzieje znał ksiądz dobrze, chociaż od ślubu jej i owdowienia widział ją zaledwie parę razy. Wybór męża dla niej, uczyniony przez Eustachego Chmarę, nie był po myśli księdza. Wtedy właśnie porzucił kierownictwo wychowaniem Krystyny i Rarogi. Ale pisywali do siebie dość często, zwłaszcza w pierwszym roku po osiedleniu się księdza Antoniego w Ponikszcie. Więc obecne opowiadania dokładał sobie dawny spowiednik i nauczyciel do pojęć i wspomnień, ugruntowanych pewnie w pamięci, i radował się, że Krystyna nie zmieniła się w istocie swej moralnej. Tylko popędliwość jej i niepraktyczność, jak dawniej, tak i teraz, niepokoiły księdza co do jej losu.

W ostatnich rozmowach zauważył oczywiście powracające nazwisko Kazimierza Rokszyckiego, o którym nie miał żadnych innych powiadomień.

— A ten pan Rokszycki młody?

— Ma lat dwadzieścia ośm.

— Piękny?

— Tak... Proszę księdza profesora, ile powinno być tomów Pamiętników o dawnej Polsce, Niemcewicza?

— Tomów jest sześć.

— A ja znalazłam tylko cztery.

— Są tu wszystkie, moje dziecko; trzeba je odszukać.—Więc mówisz, że pan Rokszycki jest z gatunku ludzi, jakich my znaleźmy za naszych czasów w Taborowie?

— Z pewnością, księżo profesorze. Z panem Eustachym Chmarą pokłócił się o politykę naszą tak strasznie, że go znenawidzili i Chmara i księżna.

Panna Zubowska wtrąciła swoje ale:

— Pozwól, Krysiu. Najprzód rozmowy tej sama nie słyszałaś, więc nie możesz tak bardzo sądzić, kto miał rację.

— Tak, nie słyszałam—odrzekła Krystyna, stuknąwszy o stół Niemcewiczem—ale wiem, kto miał rację, bo dużo rozmawiałam z panem Rokszyckim.

— Nie wojuj ze mną, Krysiu—odrzekła błagalnie panna Karolina—ja przypuszczam, że się nie mylisz. Tylko tak mało wiemy skądinąd o panu Rokszyckim, a to, co wiemy...—wzruszyła ramionami.

Ksiądz Antoni, wając książkę w rękę, spoglądał uważnie na rozmawiające. Zapytał panny Zubowskiej:

— Czy pani wie coś o nim, czego my...

— Ach! niech ksiądz profesor nie pyta!—przerwała Krystyna—nagadała jej księżna głupstw o nim, a ona wierzy!

— Moje dziecko!—rzekł ksiądz pojednawczo—można skorzystać nawet z podejrzanego zdania; trzeba je tylko sprawdzić. Je-

steśmy tu, jak niegdyś w Taborowie, wzajemnie sobie oddani. Mówmy po dawnemu i spokojnie.

— Dobrze; niech Karuś powtórzy te wszystkie bzdurstwa: będę słuchała spokojnie.

— Najprzód upewniam—mówiła panna Zubowska—że moje osobiste wrażenie było najlepsze: śliczny człowiek. Ale zgodnie i księżna i pan Chmara mówią o nim, że nie majątny, że musi szukać posagu...

— No widzi ksiądz profesor! Jakie to... niemądre! Nikt o tem nic nie wie, bo ci państwo raz go tylko w życiu widzieli. A potem—co to ma do rzeczy? Mówiłam tylko, że to człowiek taki, jakich nam na Litwie potrzeba, gdyby tu osiadł.

— A czy ma zamiar tu osiąść?—zapytał ksiądz Antoni.

— Ja nie wiem... Ma różne zamiary związane z Litwą—musi tu przyjeżdżać.

— Więc jednak rozmawialiście z sobą i o zamiarach na przyszłość?

— O, tak—dużo nawet, tylko nie o tem, o czem wszyscy zaraz myślą. Pobrać się nie możemy, bo to nawet niepodobieństwo.

— Jakie niepodobieństwo?

— A no... on przecie niemajątny, a ja nie mam podobno nic...

— Więc tak postawiliście między sobą tę kwestyę?

— Wcale mowy o tem nie było, do prawdy.

Ksiądz Antoni z dobrym, ojcowskim uśmiechem położył dłoń na ręce Krystyny:

— Widzisz, moje dziecko, to trzebaby najpierw wiedzieć bardzo dokładnie.

— Mowy nie było—powtórzyła Krystyna szczerze, jednak ciszej, niż upřednio.

— Mogły być myśli wzajemne?

— Ach, myśli!... myśli doprowadziły do tego, że—niepodobieństwo.

Pogrążyli się znowu wszyscy troje w swych mechanicznych zajęciach, snując jednak dalej wątek rozpoczętej rozmowy. Powrócił do niej ksiądz Wyrwicz:

— To, co panna Karolina wymieniła ze zdań o panu Rokszyckim, jest rzeczywiście dość blahe... Ale mówiłaś wczoraj, Krysiu, że macie sobie nawzajem pomódz praktycznie. Co to znaczy?

— Tak. Ja miałam wyszukać tu dla niego jakieś dobre pola lnu, a on mi miał przysłać taksatora leśnego do Auszry.

— To już wkracza w zakres bliższego porozumienia i wymaga zaufania.

— Ja go znam, księżo profesorze. To jest człowiek jasny, godny zaufania.

Wypowiedziała to zdanie z odważnym, przekonywającym zapałem. Ksiądz skłonił głowę bez odpowiedzi. Nie było już mowy o Rokszyckim aż do obiadu, który Piotr zastawił punktualnie o pierwszej po południu, na trzy osoby, w pokoju Krystyny, czyli dawnej bibliotece, według ustalonego już zwyczaju.



Pomyśl przecie raz o Bogu!

WŁ. JASIEŃSKI

Z teki pośmiertnej ADOLFA DYGASIŃSKIEGO:

CHAM.

NOVELA. 2)

Wychowaniec Kaczora nie pożądał sławy, jak mistrz jego i zwierchnik, nie dążył do zaszczytów, nie uganiał się za zyskami. Był dumny, wyniosły jedynie z tego powodu, że szczerze uważał za niższe wszystkie istoty, które nie pozostawały w jakimś związku z cielętnikiem. Pasterz-arystokrata z czasów patryarchalnych! Używał przeważnie języka wykrzyknikowego:

— Dzisz! Jej-jej! Uhu! Ho-ho! Baa! Ej! Eee! Hee?

Za pomocą takich i tym podobnych słówek wyrażał on swoje myśli, uczucia, postępując się przytem ruchami rąk, głowy, nadawaniem stosownego wyrazu oczom i twarzy. Z ust jego atoli najczęściej brzmiało:

— A no.

Obcował za pan brat z cielętami, wyróżniał doskonale każdego osobnika wśród kilkudziesięciu sztuk zupełnie podobnych jedna do drugiej. Ciołki, jałówki przepadały za Musiałkiem, otaczały go nieraz wkoło, lizały, swawoliły, gziły się, jak z równym. Do młodszych cieląt przemawiał:

— Kyc, kyca, kycuś!

Z byczkami starszymi przestawał poufale, choć niekiedy bywały bardzo krnąbrne: — Byś-byś!—zamawiał.

A jak on przewybornie umiał naśladować ryk i porykiwanie krów matek!

Wabione w ten sposób młode cielaki pędziły do niego, jakby do wymion macierzyńskich, i stawały zdumione na widok człowieka ryczącego. Równie dobrze naśladował groźne buczenie byka starego i bek cielątka nowonarodzonego. Czasami na pastwisku popadał w jakąś zadumę, siadał pod kopcem i myślał o czemś, nie zwracając na to uwagi, że go cielęta szarpia, oblizują.

W Kamionce tak opowiadano o jego ożenku.

Jaga przychodziła latem przez pewien czas na lucernik, gdzie Musiałek pasał cielęta, i godzinami przesiadywała obok niego pod kopcem, przyśpiewując mu, jak dziecku. Ogromnie to polubił i tęsknił do Jagi, jeśli nie przyszła pod kopiec. Pewnego razu namawiała go, ażeby z nią poszedł do kościoła w dzień świąteczny. Występował jej uważnie, odpowiedział:

— A no!—co miało znaczyć:—I owszem!

Szli do kościoła przez ścieżkę w życie i Jaga tak rzekła:

— Bez cóż ty, chudziaczku, masz żyć na świecie, jak borsuk? Toć jaka taka kobieta przydałaby ci się kóli oprania i warzy. We dwoje zawsze łatwiej wyżyć.

On jej spojrzął w oczy, przytaknął głową, odpowiedział:

— A no!

Więc baba objęła go za szyję, pocałowała w oba policzki, a on także ją pocałował. Potem wzięli się za ręce, poszli prosto na plebanię, poprosili jegomości o zapowiedzi.

— Po kiego dyabła ty się żenisz i w dodatku z takim gruchotem starym?—zapytał Kaczor pana młodego.

Musiałek objął mistrza pod kolana, pocałował w rękę i rzekł głosem uroczystym:

— A no!

Tym razem miało to znaczyć:—Stało się! Jaga sownie wynagradzała mężowi miłością ogromną brak wdzięków i zwiędłość leciwą. Oboje nie bardzo coś dbali o jedynaka niezdarne, ale pałali wzajemną miłością małżeńską.

Nadeszła wiosna, szczęście ziemi. Las zabrzmiał śpiewami ptaków, zapachniał wonią żywiczną tych sosenek młodych, które strzelają w górę pędami podobnymi do świeczek wydłużonych. Motyle, muchy, kwiaty, dzieci

i cielęta rwały się do słońca ciepłutkiego. Oh, jak miło, jak dobrze, jak pięknie na świecie!

Tydzień ostatni przed Wielkanocą, zwany Wielkim, miał w sobie coś niezmiernie uroczystego dla wszystkich ludzi na folwarku, tylko nie dla włodarza i Musiałka. Już ten i ów odrywał się od pracy powszedniej, przywdziewał obleczenie czyste, szedł z namaszczeniem do kościoła na spowiedź.

W Wielki Czwartek wieczorem włodarzowa rzekła do męża:

— Zbierz się jutro rano, pójdziemy oboje do spowiedzi.

— Takżeś sobie dzień wybrała! Dziedziec zjeżdża jutro na folwark. Jakżeby to wyglądało beze mnie?...

— Pomyśl przecie raz o Bogu, o duszy swojej! Zastanów się, żeś jest ojcem i winieś dać dzieciom przykład dobry!

— Wtrącaj się do garnków, nie do mnie, głupia! Ona mi tu będzie dawała nauki!... Pierwsze jest posłuszeństwo, niż nabożeństwo! Pan Bóg wie, że ja nie siedzę za piecem...

Trzasnął drzwiami, poszedł do cieląt, a idąc, pomrukiwał:

— Ma z mojej łaski kawał chleba, a wdzięczności ani odrobiny! Potrzebna mi była ta żeniaczka? Bodaj biesi wzięli takie smaki!

W oborze Musiałek rozpościł w cieleńniku podściółkę świeżą, a baba jego zadawała cielętom sól do lizania i paszę.

— Ta pomaga mężowi, aż miło! — pomyślał Maciej i, zbliżając się do Jagi, zapytał z uprzejmością:

— Kiedyz myślicie iść do spowiedzi?

— Ee, czy to tam spowiedź uciecze? Robota pilniejsza! Jutro o świtanu trza oto cielęta wyskrobać, oczyścić, żeby dziedzic widział.

— Mądra baba! — rzekł sobie w myśli włodarz. — Nie to, co moja suka zacieczona!

Było mu bardzo przyjemnie, że znalazł duszę bratnią, która podziela jego przekonania.

— Moi ludzie, taki Musiałek, nibyto głupi, dobrał sobie kobietę rzetelną...

I jurzył się na Weronikę coraz bardziej. Ażeby babie dokuczyć, spóźnił się umyślnie na wieczerę i łąził po obejściu, chociaż nie było potrzeby. Sfukał opryskliwie Jasia, który mu dawał znać, że żur i kartofle na misce stygną. Nareszcie wrócił do izby zły, nadęty, usiadł za stołem, gdzie go oczekiwała wieczerza już ostygła. Matka siedziała w kącie, dzieci kłęczały obok, powtarzały za nią pacierz.

Przybycie tatusia sprawiło, że małe zaczęły wymawiać słowa modlitwy głosem przyciszone.

Kaczor czerpnął łyżką w misce i poniósł do ust strawę. W tej chwili porwał się z siedzenia, rzucił łyżkę z łoskotem, mrużąc:

— Zimne! Ja nie pies, nie boję się wściekliny z oparzenia gęby strawą gorącą...

Maciejowa powstała, rozdmuchała ogień, odgrzewała wieczerę, kończąc jednocześnie pacierz z dziećmi. Chłop chodził po izbie wzburzony, a coraz to burknął:

— Morzyć chłopca głodem — nabożeństwo babskie!... Żenisz się, myślisz, że zyskasz przyjaciela, pomoc, wyrękę — potem ci to stanie kością w gardle.

Weronika zamierzała iść jutro do spowiedzi, więc tłumiła w sobie żal, gorycz, i milczała, chociaż mąż postawił jej Jagę, jako wzór żony dobrej — ścieregę taką. Przygotowała mu znowu wieczerę odgrzaną — nie tknęła wcale. Ułożyła dzieci do spoczynku, ukłękła przy nich, odmawiała pacierze, robiła rachunek sumie-

nia, ocierając zapaską łzy z oczu. On ciągle łąził po izbie i dogadywał.

Naraz kobieta uczuła w sercu skrucę:

— Moja wina! Uraziłam go i powinnam przeprosić... Pan Jezus tak przykazał.

Zbliżyła się spokojnie do niego i rzekła:

— Maciek, nie miej do mnie żalu, za wziętku!

Chciała go objąć za szyję, pocałować w usta po małżeńsku.

Ale chłop miał serce twarde, pełne siebie samego: możeby się był udobruchał, gdyby mu padła do nóg, ucałowała jego ręce z pokorą. Samolub stary, zimny, uważał widać objęcie za szyję jako zbyt poufale i odtrącił kobietę grubiańsko z temi słowy:

— Idź sobie precz, flądrowa jakaś!

Weronika usiadła cicho przy śpiących dzieciach i popłakiwała prawie do rana.

Kaczor wstał o świtanu, wyszedł, spotkał w okólniku Musiałkówną i rzekł:

— Jaga, idź do mojego domu, zwarz mi śniadanie!

On wiedział, że Weronika na to nie pozwoli, wpadnie w złość, wyrzuci Jagę za drzwi, może obrazi Boga ciężko, popsuje sobie spowiedź. W każdym razie, nasyłając do domu inną gospodynię, wyrządzał żonie zniewagę ogromną, co go cieszyło:

— Niech widzi, że o nią nie stoję!

Jednakże Maciejowa wcale się nie uniosła, jeno bardzo łagodnie przyjęła Jagę, mówiąc:

— Dziękuję ci za dobre chęci. Masz klucz od komory, gospodaruj!

Sama zajęła się dziećmi, które zabierała z sobą do kościoła.

— Z małości powinny mieć od matki przykład jak najlepszy.

Wstąpiła do obory, próbowała raz jeszcze pojednać się z mężem — znany zwyczaj przeprosin przed spowiedzią.

Chłop wytłomaczył sobie na niekorzyść żony ów spokój, z jakim przyjęła wtrącanie się Jagi do gospodarstwa.

— Ona nie dba o mnie wcale! Po kiego dyabła ja się ożeniłem?

Ani myślał słuchać przeprosin i odburknął popędliwie:

— Czy też te dzieciśka smarkate potrzeba włóczyć po spowiedziach?

Para małych, wymytych do czysta, wyczesanych gładko, ubranych w koszulki bielutkie, drepciała przy boku matusi, zarzucając ją pytaniami.

Z powrotem do domu, Jaś czterolatek był ciekawy wiedzieć, dlaczego się ludzie spowiadają, i zadał matce pytanie:

— Coście wy szeptali jegomości na ucho?

— Wyznawałam grzechy, synku — odparła Weronika z westchnieniem.

Stąd poszła rozmowa obszerniejsza o grzechach, o odkupieniu świata przez Zbawiciela. Weronika z szczerem zapałem matki chrześcijanki opowiadała dzieciom, jak przed wiekami urodził się w stajence ubogiej Chrystus, precudne Dzieciątko Jezus, który już od małości miał rozum ogromny i wszystkie cnoty największe.

Dzieci słuchały opowieści z upodobaniem nadzwyczajnym, bardzo pokochały małeńkiego Pana Jezunia. W takim nastroju, idealizm matki, szczerze jej poglądy na życie ludzkie, pojęcia złego i dobrego łatwo wsiąkały w serca dziecięce. Słońce ciepłe, jasne, w podobny sposób przenika ziemię, budzi i wychowuje życie.

Małe sposepniały, kiedy matka przenio-

sła je myślą na Golgotę i prostymi słowy przedstawiła obraz męczarni okrutnych, które wycierpiał Zbawiciel, przybity do krzyża gwoździami strasznymi. Teraz dzieci zaczęły łkać, szlochać. Kasia zaczęła dopiero trzeci rok życia, nie bardzo tam rozumiała opowieść całą i płakała głównie dlatego, że płacz rzewny Jasia wzruszał ją nadzwyczajnie. Weronika rozłzawiła się również, porwana wzruszeniem własnym i płaczem serdecznym dzieci.

Jak raz, nastreczył im się krzyż przy drodze. Matka padła na kolana, dzieci także po obu jej stronach, z rączkami złożonemi do modlitwy, i rozległ się szept trojga. Później już w milczeniu uroczystym gromadka ta wracała na folwark: dzieci miały w sobie jakieś uczucie świętości, wznosiły główki ku niebu: matka spoglądała na nie z rozczuleniem i ułożyła sobie, że w dniu Zmartwychwstania Pańskiego zrobi im niespodziankę, przygotuje święconę oddzielaie dla Jasia, oddzielnie dla Kasi.

Kiedy wchodzili w bramę, spostrzegli na podwórzu folwarcznym powóz bardzo piękny, przy nim parę szpaków zapienionych, wykrygowanych, w uprzęży pozłocistej.

— Aa, to dziedzic przyjechał! — rzekła z cicha Maciejowa.

Młode szwyce, wypuszczone z cieleńnika, skakały wesoło, zadzierając ogony. Dziedzic stał w pośrodku okólnika ze szpicrózgą pod pachą, w kapeluszu z piórkiem, w butach wysokich, lakierowanych. Włodarz i Musiałek, z głowami odkrytymi, kiwali się przed nim nabożnie, jak przed ołtarzem. Oto pan skinął ręką, dając znak, że pragnie przyjrzeć się z bliska któremuś cielęciu. Natychmiast Kaczor i jego podwładny puścili się na wyścigi, aby pojmać i stawić przed oczyma dziedzica bydłatko rozsawolone.

— On tylko przed dziedzicem zawdy gotów skakać, bić czołem — pomyślała Weronika o mężu.

Cielęta rasowe brykały po całym podwórzu folwarcznym, jakgdyby wiedziały, że im tu wszystko wolno. Niektóre śmielszej natury okrażały dziedzica i, pobekując, wlepiły weń oczy wyłupiaste. Jedno z nich zapędziło się w podskokach pod ścianę czworaków i wpadło na Maciusia niemowę, który tam z palcem w ustach siedział na trawniku.

Włodarzowa podniosła z ziemi patyk i żwawo uderzyła na to cielę, aby je odpedzić, skarcić.

Maciej, na taki widok, rzucił się pędem do baby i z ogniem złości w oku syknął:

— Nie śmieć podnosić ręki na jałówkę, którą sobie jaśnie pan ulubił!

Ostrzeżenie nastąpiło w chwili, kiedy patyk już się złamał na grzbiecie szwyca. Kaczor zaperzony byłby palną żonę, gdyby się szczęśliwie nie była umknęła.

— Co to za baba? — spytał dziedzic niezadowolony.

— A to Kaczorka, włodarzowa! — odrzekła pośpiesznie Jaga, która właśnie w tej chwili nadbiegła, aby jaśnie panu wleźć w oczy.

Teraz dziedzic zbliżył się do włodarza, położył mu rękę na ramieniu i mówił głosem poważnym:

— Mój Maćku, bardzo mi się to nie podobna, że masz jakąś babę złą, która rozbija cielęta!

Zwykle zamawiał: „mój Maciusiu”, nie: „mój Maćku”, a w głosie jego nigdy nie było takiej twardości.

Chłopu zaciemniło się w oczach, jakgdyby chmury czarne nakryły słońce.

ODPOWIEDZI

OD REDAKCYI.

Miernota. Gdybyśmy chcieli być złośliwi, napisalibyśmy *nomen-omen*. Ale, nie uciekając się do takiej zgrzytliwości, odpowiemy poprostu, że wierszyk bardzo słaby.

Autorowi, czy autorce „Krwawej toni”. Nie zamieścimy.

P. Kazim. Koz. w Krakowie. „Modlitwy poety” nie wydrukujemy z powodu braku miejsca.

Głóg. Nie.

Pani E. Knyszkowskiej. Ani listów do oceny grafologicznej pod pseudonimami: „Ita” i „J. H. z R.”, ani rb. 1 markami pocztowymi na odpowiedź nie otrzymaliśmy. Kontrolę prowadzimy ściśle.

P. Józefowi Brzechwie. Odpowiedź naszą zamieściliśmy w nrze 4 z b. r. Powtarzamy ją tutaj: Forma utworów Pańskich nie wyrobiona, są i usterki stylowe i wersyfikacyjne, chociaż naogół wiersze dość poprawne. Nie zamieścimy.

Pani Zofii C. w Żołudku. Nadesłane nam odbitki przedstawiają talarzy: z r. 1628 brabancki, z r. 1648 belgijski i z r. 1683 holenderski. Wszystkie należą do bardzo pospolitych i żadnej wartości numizmatycznej nie posiadają. Cenić je można jedynie na wagę srebra (szmelcu), jakie zawierają.

P. M. Obid. w Nadzowie. Imię założyciela wsi Obidowa w łęczyckim ginie w pomroce dziejowej. Nazwa wsi rzeczonyj występuje w Źródłach dzie-

jowych już w XI stuleciu, jako należącej do całego kompleksu posiadłości rodu Sulimczyków. Członkowie rodziny O... piastowali kilkakrotnie urzędy obywatelskie honorowe; krzesła senatorskich nie zajmowali. O losach gałęzi ukraińskiej nie powiedzieć nie umiemy. Jeżeli odegrała jaką rolę w czasach wielkiej wojny północnej, to powinno być to zaznaczone u pisarzy historycznych rosyjskich: Kostomarowa lub Sołowiewa.

P. Józefowi Mond... Wiersz Pański p. t. „Młodości”, jak również i poprzednio nadesłany: „Słowacki”, nie będą drukowane w *Tygodniku*.

P. K. R. B. we Lwowie. Z taskawie nadesłanych wierszy nie skorzystamy.

P. Natalii Zab. Wiersz „Na pomnik Szopena” nie wydrukujemy.

P. Br. Kalickiemu. Wiersze: „Stokrotki”, „Chmury”, „Do pastereczki”, które nam Pan łaskawie nadesłał, są utworami... Słowackiego, cytata z Pańskiego jakoby poematu—cytata z „Lambra”. Radzimy z podobnie niesmacznymi żartami zwrócić się do ludzi również... dowcipnych, jak Pan sam.

P. J. Czarnieckiemu w Skalsku. Ostatnie, trzecie wydanie „Komediantów” Kraszewskiego wyszło w r. 1874 we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta, do których też radzimy zwrócić się. Gdyby i oni nie mieli, pozostawałaby droga antykwaryczna.

P. Sc. S. Rękopis otrzymaliśmy. Odpowiedź—w *Tygodniku*.

P. Juliuszowi Deb. Nie zamieścimy z powodu braku miejsca.

P. W. Benin. Rzecz Pańska nie pozabawiona jest pewnych zalet tak pod

względem treści, jak i formy, ale drukować nie możemy z powodu przepętnienia teki.

P. M. K. J. psychiatrze. Łaskawie nadesłanego nam artykułu i wierszy nie zamieścimy.— w herbarzu Bonieckiego znajdujemy siedm różnych rodzin tego nazwiska, żadna z nich wszakże tytułu „kniaziów” nie posiada i żadna z Woli Książcejskiej się nie wywodzi.

Krakowiakowi. Wierszyk wcale zręczny, ale skorzystać z niego nie możemy wobec mnóstwa materyałów w naszej tece redakcyjnej.

Modrookiej Jolancie. Nie skorzystamy.

Ciekawej z Łodzi. W spódnicy! *Orłowi.* Nie zamieścimy.

P. Bolest. Naur. Wiersze do zwrotu. Nie będziemy łorzystali z nich z powodu słabej formy literackiej.

P. Serk. w/M. 13-letnia Janka musi się jeszcze dużo i długo uczyć, zanim wiersze jej będą mogły znaleźć miejsce w *Tygodniku*.

P. J. Wł. K. Rodzina P... pochodzi ze wsi Piętki w ziemi Drohickej. Wzmiankują o niej źródła dziejowe już w połowie wieku XV-go, należy zatem do dawnych rodów podlaskich, przybyłych z Mazowsza w epoce kolonizowania Podlasia (XIII i XIV w.). P. byli szlachtą względnie drobną, godności senatorskich nie piastowali, natomiast kilkakrotnie sprawiali urzędy obywatelskie honorowe, oraz posłowali na sejmy. W XVI stuleciu jedna z ich gałęzi osiedliła się w Pińszczyźnie, gdzie od majątku Netarbowa brać zaczęła przydomek *Netarbowski*. Wzmian-

ki o rodzinie omawianej znaleźć można w aktach brańskich, bielskich i drohiczkich (Archiwum wileńskie), w herbarzach Kapicy-Milewskiego, Niesieckiego i innych, jak również w spisach szlachty Kuropatnickiego, Borkowskiego i Żernickiego.

P. St. Seraf. Broszury, o której Szanowna Pani pisze, nie znaleźliśmy u Estreichera w jego „Bibliografii polskiej” pod rokiem 1865; może być, że jest on zupełnie nieznan, tem więcej, iż Witkiewicz o niej nie wspomina. Co do drugiej sprawy—prosilibyśmy o bliższe jej wyjaśnienie: o jaki materyał biograficzny chodzi, gdzie się znajduje, jaka byłaby ewentualna objętość tych wspomnień, jakie to są te rysunki nieznanne i t. p.

P. Stanisławie Raw. z Zembina. Radzimy zwrócić się do Antykwarjatu Polskiego H. Wildera w Warszawie, ul. hr. Berga, 8.

Prenumeratore w Płocku. „Uniwersytetu filologicznego” niema na całym świecie, bo *uniwersytet* czyli *uszech-nica* obejmuje całokształt nauk, nie zaś jakąś gałąź, jak specjalne licea, albo instytuty. Są zaś tylko wydziały filozoficzne przy uniwersytetach, a na nich studia germanistyczne wszędzie w Niemczech, Austrii i Szwajcaryi, między inn. i w Krakowie i Lwowie. Patent z gimnazjum żeńskiego nie daje prawa do wstąpienia do uniwersytetów austriackich w charakterze zwyczajnej słuchaczki; trzeba zdawać dodatkowy egzamin. Bliższych informacji udzieli zarządy stowarzyszeń studenckich: Bratniej Pomocy w Krakowie, oraz Czytelni Akademickiej we Lwowie.

NADESŁANE.

SKŁAD FABRYCZNY
MEBLI GIĘTYCHBRACI THONET Warszawa, TELEFON 20-29
Marszałkowska 141KOMPLETNE URZĄDZENIA APARTAMENTÓW, WILL,
TEATRÓW, zakładów gastronomicznych, klubów, etc.
Wielki wybór GOTOWYGH SALONÓW, JADALNI,
SYPIALNI i t. p. na składzie.

Płaszcz, Peleryny,
Obawie amerykańskie

poleca magazyn nowości

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

w Krakowie, ul. Sławkowska 13

Dostać można wszędzie.

KALODONT

NIEZBĘDNY

KREM DO ZĘBÓW

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.



Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku,
G. G. LARDELLI Czekoladę **Mleczną—Unique, Czeko-**
Boduena 5. Nowy-Swiat 27. **ladki Deserowe,** oraz Wyroby
Cukiernicze.



IDEALNY POKARM

dla niemowląt i dla dorosłych,
dotkniętych chorobą żołądka.

PARFUM DE LUX
REVE CHERI
ROYAL ORCHIDIA, ROYAL BOUVARDIA
F. PROCHASKA PRAGUE.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,
p. przeszła na własność
GEBETHNERA i WOLFFA.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.



W. CYBULSKI i S-ka

Telefon
60-29

Warszawa, Trębacka Nr 9, dawniej Nowo-Senatorska 7.
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19
dom własny

Polski Pensjonat
Stefanii Machota
= w JAŁCIE =
dom doktora Lebediewa.
Poleca pokoje z całodziennym utrzymaniem i usługą.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Pilnej czytelniczko. Czarne punkciki w obojczy nosa zmywa prawie momentalnie *Pureol Dufour'a*. Czerwonosć nosa, nawet lekko odmrożonego, można usunąć zapomocą specjalnego środka, zwanego *Nezoline*, również firmy *Dufour*. Jest to płyn, którym należy zmywać nos parę razy na dzień. Na noc przyłożyć małe kompresy, złożone z kilku płatków tarlatanu lub krepki białej, nasyczonej *benzyną oczyszczoną*. Aby nie tak szybko zwiędła benzyna, przykryć kompres kawałkiem płótna. Trzymać kilkanaście minut. Powtarzać codziennie. Rano myć twarz mydłem *neutralnem Karpieskiego* z wodą letnią. Do listu Pani dopłaciliśmy 12 kop., o których nadesłanie uprzejmie prosimy. Można markami.

P. Wandzie i kilku innym. Po kilka listów dziennie napływa o poradę na piegi. Z naszej praktyki i doświadczenia *Lanol Klimeckiego*, cierpliwie i stopniowo używany od N-ru 1 do 3, powinien stanowczo dopomóc; gdyby nie pomógł, dopiero uciec się należy do *kremu D-ra Orgley*.

P. K. Tłuszcz, wydzielający się na twarzy, usuwa *Baume de Bouleau Ponsarda*, użyty na noc. Rano umyć twarz mydłem *Alkalicznem Karpieskiego*, ale opłókać wodą kilka razy. Jeżeli pani używa pudru, należy twarz zapudrować pudrem *Delicia* wyrobu *Centralnego Laboratorium Chemicznego*. Puder ten łagodzi ostre działanie mydła alkalicznego.

Do wszystkich. Listy o porady prosimy zaopatrywać na kopercie dopiskiem: *Dla p. Mercédès*.

Dowcipnej. Zmarszczki z twarzy, jeżeli nie zbyt silnie zarysowane, usuwa *Abarid*.

Wszystkim Paniom. Nie możemy za każdym razem podawać adresów firm różnych dla wielu względów. Dla ułatwienia jednak poszukiwań odpowiednich środków, zalecanych przez nas, objaśniamy, że wszystkich bez wyjątku dostarczy perfumerya *Paszkwoskiego*, Marszałkowska 109.

Mercédès.

Dr JAN LATINIK

ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael“.



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23 (vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

Najlepsza Pasta do Obuwia H. Trembińskiego „INTRYGANT” żądać wszędzie

KARPINSKIEGO
KREM OGORKOWY MATOWY
Cena 60 kop.
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne
Fr. Karpieskiego
w Warszawie, Elekoralna 35. Telefon 600
Żądać wszędzie.

Od Administracji.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

„Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamieńskiego

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)
„ w ozdobnej oprawie „ 10.— (rb. 4)
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się „ 1.— (kop. 60).

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT
GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa
nutowe w tomach
„UNIwersAL-EDITION“

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje *Richarda Straussa*, *Maxa Regera* i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition“ zastępuje niemieckie wydania *Petersa*, *Litolffa* i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecony dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.
AGATOL proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnilnych.
Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

Piegi pryszczę, plamy i liszaje usuwa crem VENUS idealnie skuteczny środek.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

ŁUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ
Choroby dróg moczowych. Oświetlenie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5-7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37.

SALON „ARS”
Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

KSIĘGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Agentura nasza w Łodzi

„PROMIEN”

ulica Piotrkowska № 81

Telefon 1200

Przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia na rok 1909.

Z LABORATORYUM L. LALEUF w ORLEANIE (FRANCJA).

Iodyryna Dr. Deschamp

(Iodhyrine du Dr. Deschamp)
Ogólnie uznany środek przeciw

Otyłości

zalecany przez lekarzy z doskonałym skutkiem.

Jodyryna Dr. Deschamp

USUWA OTYŁOŚĆ stopniowo w bardzo krótkim czasie. Niema ubocznego szkodliwego działania.

Cena pudełka (60 pastyl.) Rb. 4.25 k.

Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.